

1347



1903.

MAJ.

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Dodatek popularno-naukowy

(BEZPŁATNY).

Amerykański chłopiec.

Szkic ze zbioru mów i pism

Teodora Roosevelta

Prezydenta Stanów Zjednoczonych *).

Po każdym chłopcu amerykańskim spodziewać się należy, że wyrośnie z niego dobry amerykański obywatel. O ile nie jest porządnym chłopcem, mało ma szans zostania porządnym człowiekiem. Nie wolno mu być tchórzliwym, krynąbrnym, podstępny, ani drobiazgowym. Musi mieć jasną, otwartą głowę i czyste obyczaje. Powinien umieć dać sobie radę i znaleźć się właściwie w obec każdego i w każdym życia wypadku. W takim tylko razie może wyrosnąć na obywatela, którym Ameryka słusznie szczyć się będzie.

*) Uwagi tak dzielnego, jak prezydent Roosevelt, człowieka, mogą być z korzyścią zastosowane do narastającego pokolenia w każdym innym narodzie.

(Prz. Red. „Przeg. Tyg.”)

Istnieją w życiu niezliczone wpływy, prowadzące do złego lub dobrego. Każde następne pokolenie podlega tym wpływom, które jednego czynią silnym, innego zaś słabym. Niestety, niezawsze dobrzy zyskują na sile, źli zaś niezawsze słabną. Od jakich dziesięciu lat jednak zauważyć się dają w życiu młodzieży naszej pewne zmiany na lepsze. Rosnące zamiłowanie do sportów (jakkolwiek nie jest ono poniekąd pozbawione stron niebezpiecznych, o ile sporty uprawiane są jednostronnie i bez uwzględnienia warunków higienicznych) sprzyja w wysokim stopniu rozwojowi cnót męzkich. Jeszcze przed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty zmuszony był amerykański reformator społeczny, stałe występować przeciwko zniewieściałym obyczajom i wydelikacaniu młodych Amerykanów ze sfer zamożnych, którzy—zwłaszcza w wielkich, wschodnich miastach—prowadzili zbyt wykwintny tryb życia. Gra w bilard była jedną z głównych, niewinnych ich przyjemności i nie wstydzi się oni bynajmniej przyznać, że gry i zabawy na wolnem powietrzu nie odpowiadają im, nie są dla nich stworzone. Dzisiaj jest inaczej: chociażby synowie bogatych rodziców chcieli być innymi, poglądy towarzyszków zniewalają ich do ćwiczenia się w męzkich grach i zabawach, przyczem nietylko ciało ich, ale poniekąd i charakter rozwija się i wzmacnia, kształcąc i urabiając w nich odwagę, energię i siłę.

Samo się przez się rozumie,¹ że chłopcy, którzy pracują po za domem i których działalność na jednym mniej więcej stoi stopniu z zabawami na otwartem powietrzu, mniej odczuwają potrzebę ćwiczeń cielesnych. Podczas wojen domowych okazało się, że żołnierze, którzy przybyli z preryj, z dzikich stepów lub z gór skalistych i którzy przyzwyczajeni byli od dzieciństwa do jazdy na nieosio-

dłanych koniach, do umiejętnego władania bronią od najwcześniejszej młodości, jako też do częstego sypiania pod gołym niebem — daleko bardziej są uzdolnieni do służby wojskowej, aniżeli wychowawcy uczonych szkół.

Równie jednak opaczna byłaby zbyt wysoka, jak zbyt niska ocena wartości i znaczenia gimnastyki. Grecy byli słynnymi gimnastykami, co wychodziło im na dobre, jednakże tylko tak długo, dopóki uprawiali gimnastykę w miarę. Gdy jednak zaczęli dla ćwiczeń gimnastycznych zaniedbywać zajęcia poważniejsze, niezbędne dla przyszłego żołnierza i obywatela kraju, złe skutki takiego postępowania nie dały na siebie długo czekać.

Niejednemu z czytelników moich znane są zapewne słynne listy Pliniusza młodszego, który w pierwszym wieku naszej ery spisał myśli, wydające nam się dzisiaj dziwnie współczesnymi. W obszernej korespondencji jego z cesarzem Trojanem, najznamienniejszym może objawem jest lekceważący ton, jakim Pliniusz mówi o gimnastycznych ćwiczeniach Greków, które uważa za zwyrodnienie narodu i do których zachęca Greków w dalszym ciągu, jeśli chcą, aby nikt nie miał powodu obawiać się ich. Perscy królowie zniewoleni byli również do wydania na czas pewien zakazu, dotyczącego gry w polo, ponieważ żołnierze zaniedbywali w zapale gry swoją służbę wojskową. Niewiele można spodziewać się po żołnierzach, którzy z przesadnym zapalem oddają się sportom lub innym grom i którzy nie dbają o wyrobienie w sobie specjalnej zręczności, niezbędnej do czynienia zadość obowiązkom ich fachu. Żołnierz musi umieć dobrze strzelać, musi wyrobić w sobie gruntowne przejęcie się zasadami strategii, oraz umiejętności ratowania się w razie katastrofy. Boksowanie i gra w football mniej mu są potrzebne.

Często mylimy się, biorąc środek za cel.

Polowanie na lisa np. jest doskonale jako sport a jednak za niedorzeczność uważać należy pełne zachwyty, zapалу i uniesień rozwodzenie się wielkich zwolenników jego nad tem dobrem, przyjemnem, ale nieszczególnie pożytecznem przepędzaniem czasu. Zapalają się oni do zabawy tej tak samo, jak arystokracja francuzka i angielska zapalała się przed stu laty do polowania na jelenie wówczas, gdy prawa, przysługujące dostojnym myśliwym, ustanowione były ze szkodą ogółu. Polowanie na lisa może być bardzo przyjemnem przepędzeniem czasu, dla współczesnego człowieka jednak nie jest odpowiedniem zajęciem. Żaden z opisujących łowy nie zaniedba przytoczyć opowiadania o specjaliście polowań na lisa, który podczas angielskiej wojny domowej, w chwili, gdy rozgrywała się wielka bitwa, polując, wpadł pomiędzy dwa wojujące, nieprzyjacielskie obozy. Widocznie poczytują pisarze ci człowiekowi temu za zasługę, że w chwili, gdy ojczyzna prowadziła bój na śmierć i życie, on najspokojniej oddawał się ulubionej swej zabawie, zamiast chwycić za oręż i walczyć w jednym czy drugim szeregu.

Dodatnią stroną polowania na lisa jest rozbudzanie i rozwijanie odwagi i przytomności umysłu, cnót niezbędnych dla obywatela kraju, pragnącego służyć ojczyźnie i ratować ją w potrzebie. Jeśli jednakże do takiego stopnia zbłądzić mielibyśmy, przyjmując środek za cel, że polowanie na lisa, grę w polo, football lub każdy inny sport, uważać będziemy za cel, nie zaś za przygotowanie się do istotnej pracy, do której zabrać się wypadnie, gdy właściwa wybije godzina—w takim razie uczynimy najlepiej, zupełnie lekceważąc wszelkie sporty.

Żaden chłopiec nie powinien pracy swojej wykonywać

niedbale, pracować bowiem znaczy dla niego — uczyć się. Mamy, co prawda, przykłady ludzi, którzy w szkole najgorszymi byli uczniami a pomimo to wyrobili się na najświetniejszych ludzi, jednakże czynienie z tych wyjątków prawidła, byłoby taką samą niedorzecznością, jak uważanie ślepoty za pewnego rodzaju wyższość czy zaletę, na tej zasadzie, że kilku ludzi niewidomych zdobyło sobie nieśmiertelną sławę, dzięki temu, iż wyszedłszy zwycięzko z walki ze strasznym swoim kalectwem, wielkich dokonali czynów.

Stanowczo przeciwny jestem bezmyślnemu przeciężeniu pracą umysłową. Chłopiec musi jednak pracować, usilnie pracować w szkole: przedewszystkiem, aby się czegoś nauczyć, następnie w imię zbawionego wpływu, jaki spokojna, równomierna praca wywiera na charakter. Niecierpliwość, niedbalstwo, obojętność przy nauce, są zazwyczaj forpocztami niezaradności, utrudniającej później życie i zdobywanie stanowiska na świecie. Gdy chłopiec dojrzeje nieco umysłowo, wolno mu obrać kierunek, do jakiego najbardziej czuje się pociągniętym czy zdolnym, zawsze jednak musi sercem i duszą oddać się obranemu rodzajowi pracy.

Jestem tego zdania, że chłopcy, którzy po za godzinami szkolnymi dostatecznie się bawią i uprawiają tem samem w ruch swoje członki, nie odczuwają podczas lekcyi potrzeby ruszania się, kręcenia i wiercenia, tak przeszkadzającego wykładowi. Chłopcy winni zapalać się tak samo do nauki, jak do gier i zabaw. Rzeczą nauczycieli jest dbać o ułatwienie im i podtrzymywanie w nich tego zapału. Złotem prawidłem powinno być stare przysłowie: uczyć się i bawić — wszystko w swoim czasie. Chłopiec powinien posiadać zarówno odwagę fizyczną, jak moralną.

Jedno nie może zastąpić braku drugiego. Później, w życiu, przekona się nasza obecna młodzież, że są na polu bitwy waleczni żołnierze, którzy w polityce zdradzali temperament tchórzliwy i dlatego żadnego nie mieli wpływu ani znaczenia i że z drugiej strony istnieją politycy, którzy przy decydowaniu o losach kraju całą na siebie brali odpowiedzialność—a jednak nie mają odwagi bronięcia się, gdy własna ich osoba znajdzie się w niebezpieczeństwie. Obaj: zarówno żołnierz, jak polityk, połowicznie posiadają tylko cnoty. Waleczność żołnierza nie okupuje tchórzliwości męża stanu, zarówno jak mąż stanu nie może swego męstwa przy biurku uważać za wytlómaczenie swego tchórzostwa na placu boju.

To samo ma często miejsce wśród młodzieży. Tchórz, który pozwala się bezkarnie obrażać i boi się bronić, powszechnie uważany jest za godną pogardy istotę a jednak bardziej jeszcze potępiać należy chłopca, który nie umie w każdej sytuacji bronić wytrwale swoich przekonań i poglądów wobec towarzyszy, postępujących—zdaniem jego—niesłusznie. Ośmieszanie jest jedną z najulubieńszych broni, używanych w celu zmiążdżenia strony przeciwnej. Niepojętą jest rzeczą, jak może dobry i dzielny chłopiec uleść wobec drwin kolegów, wyszydających najszlachetniejsze cnoty i postęпки, przed którymi właściwie korzyćby się byli powinni.

Trudno wymagać od chłopca, aby był wzorem wszelkich cnót, istotą bez skazy i zarzutu. Nieznośni są ci, którzy dobrem swoim postępowaniem popisują się wciąż wobec reszty kolegów. To w rzeczy samej ośmiesza ich i każe unikać ich towarzystwa. Chłopiec, z którego wyrosnąć ma dobry obywatel kraju, musi być czysty duchem, szczery, uczciwy i umieć zasługiwać na zaufanie; powinien

być skromnym, uprzejmym, ale zarazem śmiałym i mężnym. Gdy dojrzeje i potrafi odróżnić złe od dobrego, spoglądać będzie sam z głęboką pogardą na tych, którzy innemi kroczą drogami: na prostaków, zdrajców, nieuczciwych i obłudników.

O ile jednak chłopiec powinien być mężnym, umieć się bronić w potrzebie, nie pozwolić sobie w kaszę dmuchać, o ile słusznem jest, aby poczytywał tchórzostwo za hańbę dla siebie, musi jednak umieć ulegać wobec głosu rozsądku, musi umieć uszanować cudzą wyższość, nie być szorstkim ani brutalnym.

Istnieją dwie prześliczne książki: Thomasza Hughesa: „Tom Brown at Rugby“ i Aldricha: „Story of a bad boy“.

Chłopcy wszystkich krajów powinnyby znać te książki. Amerykańscy chłopcy będą zapewne woleli opowiadanie Aldricha, ponieważ niema w niem opisu tego ohydneho—a uważany za powszechny obyczaj—dręczenia jednego z towarzyszy przez innych, wstrętnego zwyczaju, który odstraszał zawsze amerykańskich przyjaciół „Tomasza Browna“.

Podobna różnica zachodzi też pomiędzy dwoma opowiadaniem Kiplinga. Jedno, pod tytułem „Captains Courageous“, opisuje nader barwnie i żywo, jakim chłopiec być winien i jak ma się zachowywać. Na początku opowiadania widzimy go jako zepsute, rozkapryszone dziecko bardzo bogatych rodziców, czyli istotę, jakich tysiące widzujemy, niestety, w życiu rzeczywistem i jaka, w gruncie rzeczy, stanowi najohydniejszy okaz na kuli ziemskiej. Wskutek różnych kolei losu, musi chłopiec ten sam na chleb zarabiać i ciężko pracować w otoczeniu młodzieży i dorosłych mężczyzn, prawdziwych ludzi, rozumiejących znaczenie i pożytek pracy. Zmiana, jaka w nim pod wpływem

ich zachodzi, jest zdumiewająca. O ile zaś przeciwnie, chcemy poznać typy chłopców, których unikać należy, jak zarazy, możemy przeczytać inne opowiadanie Kiplinga pod tytułem: „Stalky et Co“, historię, która nigdy nie byłaby powinna zostać napisaną. Trudno sobie wyobrazić tak głupi i niedorzeczny pomysł, jakiego czytelnik nie znalazłby w tej książce, albo też jakąś psotę szkolną, którejby autor nie wymienił z pewnem upodobaniem. Chłopcy, dokuczający innym, dręczący bezbronych, nie mogą się nigdy stać dzielnymi ludźmi. Chłopcy, czy ludzie dojrzały, którzy źle żyją, muszą przedewszystkiem z gruntu przeistoczyć swoje obyczaje, zanim się stać mogą dobrymi obywatelami kraju.

Już przez to samo, że jest dobrym chłopcem, wyrasta młodzieniec na dobrego człowieka. Dobrego w najobszerniejszem słowa tego znaczeniu a więc: szlachetnego, szczerego, czystego, nieustraszonego—słowem, na prawdziwego mężczyznę. Najlepsi chłopcy, najlepsi ludzie, jakich znam, byli takimi w latach nauki i zachowali te cnoty, jako ludzie dojrzały, spełniający obowiązki swojego fachu. Silni, nieprzedajni, nienawidzeni i unikani przez złych i zepsułych, umiejący surowo zwalczać wszystko złe i opaczne—wobec słabych jednak i nieszczęśliwych łagodni są i współczujący. Dzielny chłopiec musi nienawidzić całym sercem tchórze a bardziej jeszcze chłopca, dręczącego istoty słabsze lub zwierzęta. Z tego przedewszystkiem względem ma wstręt do tchórzów, ponieważ zmuszają go oni do przykrych konieczności używania względem nich siły pięści.

Samo się przez się rozumie, że prawdziwie dzielny, szczerzy, zacny chłopiec, olbrzymi wywiera wpływ na swoich rówieśników, oraz na młodych kolegów. O ile nie jest jednak przytem mężny i silny, nie wzbudzi w nich sza-

cunku dla siebie, wskutek czego inne jego cnoty nie na wiele mu się przydadzą. Gdy zaś jest on gburem, prostakiem lub złym z racji swojej fizycznej przewagi, stanie się najszkodliwszym członkiem społeczeństwa. Nie będzie mógł dokonać żadnego zacnego czynu, o ile nie potrafi poskromić siły swojej i mocy, która zgubną stanie się zarówno dla niego samego, jak i dla wszystkich innych, o ile nie potrafi zapanować nad sobą i złemi swemi popędami i o ile nie spożytkuje swojej siły na ołtarzu pracy społecznej, sprawiedliwości oraz prawdziwie uczciwych zasad i dążeń.

LYNKEUS.

Z fantazyi realisty.

Lynkeus?... Kto to jest Lynkeus?...

Pytanie to zajmowało niedawno całą prawie krytykę literacką i świat czytelniczy Niemiec. Sudermann?... Hauptman?... Może Maksymilian Harden?... Może Schnitzler?... Już samo to zestawienie tytu i tak odrębnych indywidualności artystycznych dowodziło, że nawet osoby blisko stojące najtajniejszych kulis literatury, nie mają żadnego o autorze pojęcia. I Lynkeus do dziś dnia pozostał anonimem.

Tylko książka jego doczekała się paru wydań i wśród obecnej, długotrwałej już posuchy germańskiej twórczości, stanowi ciekawe i zasługujące na poznanie zjawisko zmiennego literackiego horyzontu. W dwóch niewielkich tomach średniej ósemki, niejaki Lynkeus zebrał aż osiemdziesiąt, wyraźnie osiemdziesiąt, utworów, które tylko do pewnego stopnia można ochrzcić mianem nowel, gdyż ten rodzaj twórczości nie posiada jeszcze, na szczęście, swego ściślego określenia w formularzu szkolnej systematyki, zwanej potocznie teorią prozy i poezyi. Są to rzeczy przeważnie bardzo krótkie, najwyżej liczące parę stronic, niekiedy tyl-

ko parę wierszy. Wiadomo jest, jakie szalone trudności przedstawia podobne streszczanie się do niewielu zdań. Przy tem, technicznie wprost niemożliwem kondensowaniu myśli do ostatecznych granic, łamali sobie ząbki natchnienia najtężsi koryfeusze europejskiego piśmiennictwa. Jedyny Baudelaire („Poezye prozą“) a poniekąd Schlaf, doścignęli w tym zakresie karkołomnych prawie, dla przeciętnego talentu, szczytów.

Ale z temi nazwiskami nie trzeba utożsamiać Lynkeusa. W jego utworach niema śladu tak zwanej poetyckiej prozy i ani cienia nastroju. Zdaje się nawet, że umyślnie lekceważy nieraz artystyczną stronę wykonania, dla głębszego uwydatnienia treści. Nigdy nie tworzy on—jak w krótkich również rzeczach lubujący się Mombert—symbolu, lecz daje często piękne alegorye, zawsze tak jasne, przejrzyste i zrozumiałe, jak marmurowe postacie boskich mieszkańców greckiego Olimpu. Zato jest arcymistrzem wyrafinowanej „pointe’y“, wielkim magiem literackiego „post-scriptum“, kapłanem nieoczekiwanego zakończenia i świetnym szermierzem ironii. Tylko ta ironia, nigdy nie przechodząca w sarkazm, jest tak pogodną, łagodną i optymistycznie uśmiechniętą, że zmienia się prawie w pobleźanie—więcej nawet w miłość dla świata, ludzi i ich ludzkich słabości.

Typową i charakterystyczną dla rodzaju talentu jest zwłaszcza jedna nowela.

W szpitalu dyżuruje młody lekarz. Jeden z chorych kona i skarży się gorzko, że ot, umiera a przez całe życie myślał tylko o ciele a nie o duszy. Teraz już za późno na poprawę. Po godzinie umiera drugi pacjent i znów lamentuje, że przez całe życie ciężko pracował dla Boga i ludzi—tak chciałby sam użyć doczesnych rozkoszy, ale

teraz już, niestety, za późno. I młody lekarz zadumał się głęboko nad temi dwoma sprzecznemi wyznaniem wiary: jeden żałuje, że żył za mało, drugi — że za dużo. Gdzie prawda?

A oto zakończenie. Nad ranem przychodzi do szpitala stary, wytrawny, naczelny doktor i na postawione wprost zapytanie, daje mniej więcej taką odpowiedź: Kolega zbyt przecenia to, co ludzie mówią w godzinę śmierci. Jest to wogóle nader głupia godzina, w której nic postanowić ani zmienić nie można, więc wszystko jedno, czego się pragnie lub żałuje w tej smutnej chwili. Żyjemy wszak dla życia a nie dla śmierci.

I Lynkeus jest przedewszystkiem gorącym, namiętnym wielbicielem życia we wszystkich jego przejawach. Miłość, zdrowie, młodość, siła—mają dla niego nieprzearty powab. Nie tajną mu jest odwrotna strona wszystkich ludzkich wartości, ale—parafrazując zdanie A. Langego—twierdzi wciąż kategorycznie, że lepiej być żywym psem niż zdechłym Jowiszem.

I ten słoneczny, krwią pulsujący koloryt, zbliża go nieco do pisarzy włoskiego odrodzenia. Nietylko lubi wybierać tematy z tej wspaniałej i jedynej w swym rodzaju epoki, ale nawet forma jego utworów zbliża się nieco do swawolnych nowelet Boccaccia lub dość cynicznych opowiadań wesołej królowej Małgorzaty. Część zbioru można by śmiało nazwać niezwykle wysubtelizowanym i przez filtr społecznej kultury przepuszczonym Dekameronem.

Przy bliższej analizie uwydatnią się jeszcze bardziej rażące podobieństwa w postaci nienawiści do wszelkiej metafizyki, mglistości, grzebania się we własnej duszy, co prowadzi do negatywnego stosunku nawet do religii, nie mówiąc już o jej sługach, z których kpi sobie nieraz

również głośno i pocziwie, jak protoplaści jego w prostej linii — Boccaccio i Rabelais. Również uderzającą analogię z pisarzami włoskiego odrodzenia przedstawia silny nieraz podkład zmysłowy wielu utworów Lynkeusa. Nie jest to bynajmniej lubieżna, dyskretnie uchylająca spódniczki, francuzka pornografia lub na ciężkiem piwie wyhodowane brutalne pruskie rozpasanie — a ot wesoła włoska zmysłowość błękitnego nieba i skrzącego się słonecznem złotem południa, niewinna zmysłowość silnej, zdrowej i pięknej młodzieńczej natury.

Cały zbiór nowel nosi wspólny tytuł: „Fantazje realisty“—nagłówek dobrany nader stosownie.

Lynkeus jest realistą, nietylko dlatego, że nad wszelką złudę i wizję umiłował rzeczywistość, o której pisze i dla której pracuje, lecz nawet z powodu samej swej piarsarskiej techniki, która nieraz—i to jest wadą autora—ze zbyt drobiazgową ścisłością zajmuje się fotografią szczegółów i drobnostek.

Z drugiej strony, utwory Lynkeusa są czystej krwi fantazyami. Każę nam on odwiedzać niebywale miasta miłości lub przerzuca odrazu w epokę greckich sofistów, reformacyi, albo deistycznego XVIII wieku. Rozmówcami w jego nowelach są: Salomon i Faraon, Michał Anioł i Lionardo da Vinci, Erazm Rotterdamski i sir Thomas Morus. Przenosi nas do salonu, gdzie spierają się Holbach i Diderot, do średniowiecznego sądu, w którym Savanarola kłóci się z Machiavellim lub do okopconej izby, w której Luter prowadzi ożywioną dysputę z rabinem z Ghetto. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon — przesuwają się malowniczym pocztem a wyjątkową opieką autor otacza umiłowane postacie Konfucjusza, arabskich poetów, perskich wieszczów (Abu Hafiza) i pierwotnych indyjskich buddy-

stów. Wszystkie te fantastyczne kreacje mówią, rozumie się, słowami autora, ale charakterystyka dziejowego okresu, narodu i osobistości jest zawsze świetną i przedziwnie utrzymaną w stylu, dowodząc olbrzymiego odczytania i wiedzy.

I jeszcze jedna wielka zaleta: Lynkeus jest zawsze zajmującym, bo podstawowa treść jego krótkich utworów, sens moralny—excusez le mot—wyływa obiektywnie z samego przedmiotu lub rozmów i czynów działających osób. Autor pozostaje zawsze niewidocznym, choć w gruncie rzeczy jest główną sprężyną i subiektywnym motorem swych dowcipnych marynetek.

I jeżeli z dostatecznej ilości literackiego materiału, możemy sobie wytworzyć duchową sylwetkę danego pisarza, to uplastyczniona postać Lynkeusa powinna przybrać następujące zarysy. Wesole, choć uduchowione, oblicze humanisty, pod jakobińskim czerwonym kapeluszem, z fałd fraka dyskretnie się wysuwa koniec wolteryńskiego czarciwego ogona, przed nim na stole butelka starego, mocnego wina. W jednym ręku trzyma ułamek z przepięknego torsu antycznej Afrodyty, w drugiej—tom Boccaccia. A na pogodnej twarzy kwitnie nieco ironiczny uśmiech wszystko rozumiejącego pobłażania.

Tak przynajmniej odbił się autor „Fantazyi realisty“ na kliszy wyobraźni jego tłumacza.

M i a s t o m i ł o ś c i .

Podróżnik pewnego razu przybył do miasta, którego mieszkańcy natychmiast, ledwo przestąpił wrota miejskie, zwrócili jego uwagę swojemi błyszczącemi szczęściami twa-

rzami. Nie chciał on wcale dopytywać się przyczyn tego dziwnego objawu. Prawdopodobnie — myślał — ci ciekawi ludzie sami nie będą mogli podać dostatecznych powodów tak głębokiej wewnętrznej radości. Bo jeżeli ktoś mówi: zysk pieniężny, albo władza, albo zaszczyty, albo coś podobnego—czynią mnie szczęśliwym, to nie jest to bynajmniej prawdziwą radością ani prawdziwym, wewnętrznym szczęściem, które ludzie tylko wtedy odczuwają, gdy o przyczynach jego nie wiedzą.

I podróżnik postanowił cały swój od obowiązkowych zajęć wolny czas, zużytkować na zaznajomienie się z życiem mieszkańców miasta, możliwie bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi.

Akurat była godzina cichego wieczoru. Z wielkich fabryk i warsztatów, znajdujących się bez wyjątku za miastem, rozległy się sygnały świstawek, wskazujące, że na dziś robota jest skończona. Przed bramy tych potężnych zakładów przemysłowych wyległy niezliczone tłumy, stosunkowo nader urodziwych kobiet i dziewcząt. Gdy wreszcie wyszli robotnicy, każdy z nich doszedł do swojej wybranki, witając się z nią serdecznie. I olbrzymia rzesza ciągnęła ku miastu. Żonaci szli pod rękę ze swymi żonami a z młodzieży każdy miał przy swym boku kochankę. I w miłosnym uścisku, wesołe śpiewając pieśni, szły rozkochane pary przez miejskie wrota, aż znikły w oddzielnych zaułkach.

Cudzoziemiec z niemałym zdziwieniem przyglądał się całemu temu widokowi. Gdzieindziej — powiedział sam do siebie — dopiero samotność nocy, ciemność lub niejasne światło księżyca, zezwalają na upust miłosnych uczuć; tutaj to wszystko odbywa się w biały dzień, publicznie i szczerze.

Pogrążony w myślach, wyszedł machinalnie przez wrota za miasto, wciął się od niego oddalając; luna zachodu paliła się na niebie. Głęboka cisza panowała naokół; nagle podróżny zauważył, że stoi przed miejskim cmentarzem.

Strzelista, wysoka, zupełnie otwarta brama ułatwiała wstęp. Na jej smukłej fasadzie można było przeczytać: „Miejsce spoczynku dla ofiar nieszczęśliwej miłości“.

Widocznie był to jakiś specjalny oddział ogólnego cmentarza. Z boku głównej alei wszędzie rozrzucono piękne obeliski, wspaniałe grobowce i przepysznie rzeźbione pomniki.

Na jednej z harmonijnych piramid z różowego marmuru, wyryto następujące słowa: „Czyż jest coś piękniejszego na świecie, nad widok dwojga kochanków, zwartych w miłosnym uścisku?“ A na lewo, wśród zwojów bluszczu, złotemi literami świeciło się hasło: „Ptaki ze zmierzchem odlatują ztąd, śpiewając: kto z miłości umiera, jest bez grzechu!“...

Cudzoziemiec odczytał te słowa z pewnem zdziwieniem i oglądał dalej nagrobki i pomniki. Na wielu z nich w krótkim zarysie streszczone były nieszczęśliwe dzieje pary kochanków, albo jednego z nich, którzy tu spoczywali w ziemi, koniec zaś opowiadania zamykał zwykle specjalnie ułożony wiersz, albo cytata z popularnego poety. Na małej, prostej, granitowej płycie, ostre dłuto skreśliło następujące zdanie: „Nie wiercie, że płaczę z bólu, łzy radości płyną mi z oczu“.

Wspaniałe mauzoleum zawierało prochy dziewczyny, która z miłości dostała obłądu. Dla tego wypadku ułożono także godło: „Czyż to nie jest najwyższą doczesną rozko-

szą rozplonąć tak silną miłością, że nam rozsądek zabiera?“...

Piękny, wielki nagrobek, nosił następujący napis: „W mocnym uścisku spędziliśmy noc; on upił się memi pieszczotami a ja puhałem jego ust“. A nieco niżej zakończenie: „Gdzie strzał wymierzysz, by mnie napewno zabić?“...—zapytuje dziewczę swego kochanka. — „W twe serce—odpowiada jej—i tem samem siebie zabiję“.

Zupełnie w stronie stał surowy, czerwony, opuszczony całkiem kamień. Człowiek, który był pogrzebany pod nim, w testamencie rozkazał wyryć na nagrobku: „W chwili, gdy postanowiłem odebrać sobie życie, uznałem prawdę starego wschodniego zdania: oto wam dam szczegółowe objaśnienie kobiecego charakteru, znam wady niewiast. Gdy głowa męża siwą się staje lub traci on swój majątek, znika i wierna miłość kobieca“.

— No, ta sentencya—pomyślał podróżny—aczkolwiek jest prawdziwą, nie dostraja się do ogólnego charakteru. I powtórzył raz jeszcze całe zdanie, by pojąć lepiej jego wewnętrzną treść. Później doszedł do końca alei. Tam znów stał smukły obelisk, upiękuszony złotemi literami maksymy: „Chodzi zgrzybiały starowina a trzęsący się podbródek prawie kolan sięga. Zapytałem: dlaczego wleczesz się tak pochyłony, z opuszczoną głową?... A on mi odpowiedział, podnosząc żałośnie ręce: młodość swą straciłem na ziemi i oto szukam jej wszędzie“...

Długo stał cudzoziemiec przed tym werselem, później obrócił się, opuścił cmentarz i znów znalazł się na samotnej, szerokiej drodze. Głęboka cisza przepełniała wieczorny krajobraz; zdala tylko płynęły odgłosy miejskiego życia. Spokój i zgoda—tak mu się przynajmniej zdawało—

pajęczym a gęstym z firmamentu spuszczoneym welonem okryły ziemię, na której działały się jeno piękne i dobre rzeczy. I rozrzewniony wzniosłym nastrojem tego dziwnego cmentarza, długo przetrwał swe wrażenia samotny podróżnik.

— Ludzie, którzy są tam pogrzebani — rozmyślał, szybko stawiając kroki — byli bardzo nieszczęśliwi a jednak przejmują nas zazdrością. Przez jaką głębię potężnych uczuć przeszli ci biedni ludzie, zanim przestali żyć! Być może, przez parę dni tylko stali oni na szczycie bytu ludzkiego, ale to ich krótkotrwałe istnienie było tak bogatym, tak nieskończenie silnym, że później tylko śmierci pragnąć mogli, bo nasze zwykłe ziemskie, codzienne bytowanie, nie mogło już im nic ofiarować.

— Jak łatwo z tak majestatyczną pogardą iść w objęcia śmierci, której my, ludzie drobni, najbardziej się boimy a ci jej szukali z żywiołową rozkoszą... I mają oni prawo na swój odrębny cmentarz, na własne miejsce wiecznego spoczynku, bo jeno oni ze śmiertelnych zaprawdę umierają błogosławieni!

Z tych melancholijnych rozmyślań wyrwała nagle podróżnika przedziwna, z miasta płynąca muzyka. Przysłuchał się uważnie: była to gra dzwonów z najwyższej, widocznie miejskiej, wieży rwąca się w bezkresy okolicy. Melodya dzwonów i dzwonek zalewała świat falą rzewnych, srebrnodźwięcznych, czystych tonów. Oczy cudzoziemca zamglily łzy.

— Mój panie — zapytał wypadkowo spotkanego przechodnia—co oznacza ta wspaniała gra dzwonów? Niema teraz, zdaje się, pełnej godziny a więc coś innego niż miarę czasu ma ta muzyka na celu?

— A więc pan nie wie?...—odrzekł zapytany.—Dawny

zwyczaj panuje w naszym mieście, że nikt nie obwieszcza godziny śmierci. To jest, chciałem powiedzieć, że gdy ktoś umiera, milczą spiżowe dzwony. Ale gdy dziecko się rodzi, wtedy niecierpliwy ojciec sam biegnie lub do wieżowego strażnika posyła i grają dzwony, by wiedział cały świat o jego szczęściu i cieszył się wraz z nim.

— I cieszą się rzeczywiście?... -- dowiadywał się podróżnik.

— Rozumie się. Wieczorem tłum ludzi, jak wszędzie zresztą, znajduje się w ogrodach i restauracjach i oto grają dzwony. Wnet wszyscy w swoim kółku urządzają małe uczty, choć nie znają zwykle ojca niemowlęcia a nawet często nikogo z jego rodziny. Bo czyż nie jest wielkim, ogólnym świętem przyjście nowego człowieka?... Więc zbieramy się i pijemy jego zdrowie.

— Dziękuję panu za objaśnienie; nic piękniejszego nie słyszałem w życiu. Niech błogosławieństwo spłynie na mieszkańców tego miasta, niech los im zawsze sprzyja!...

Uczucie głębokiej wewnętrznej radości objęło duszę cudzoziemca.

P o d c z a s b u r z y.

Ciemną nocą nawałnica szalała nad miastem. Przy framudze okna stała drżąca kobieta a obok niej braciszek z „Societatis Jesu“.

— Czcigodny ojczy—rzekła niewiasta—chciałabym służyć waszym celom.

— Jeżeli Bóg cię natchnął tym chwalebny zamia-

rem—odpowiedział jezuita—musisz przedewszystkiem wykazać swe zdolności.

— Jakim sposobem, czcigodny ojcze?...

— W przeciągu krótkiej chwili, póki najbliższa błyskawica świecić będzie na niebie, musisz wymyśleć i powiedzieć dziesięć tysięcy kłamstw.

W tej minucie ognista strzała błyskawicy rozdarła czarny strop firmamentu a jeszcze nie zgasł jej złowieszczy blask, jeszcze nie zahuczał grzmot a już kobieta skończyła oznaczone dziesięć tysięcy kłamstw.

Kapłan w kornym ukłonie pochylił się przed niewiastą

Konfucyusz mówi o prawie i cnocie.

Kung-fu-tse udał się do ziemi Czeu, by porozmawiać tam z Lao-tse, jakimi drogami naród może zostać szczęśliwym. Gdy powrócił, spytali się go uczniowie:

— Mistrz rozmawiał z wielkim Lao-tse a co mistrz myśli o zdaniu tego mędrca, który twierdzi, że jeżeli wszyscy ludzie będą doskonale dobrzy i cnotliwi, to wszelkie prawodawstwo stanie się zbytecznym?...

Kung-tse poprosił o miesiąc czasu na rozmyślanie nad tą zawiłą kwestją. A gdy po tym terminie znów się zbrali uczniowie, podniósł się wielki nauczyciel ze swego miejsca, jak wieloryb, gdy z głębi morza wypływa. Z oczu mu błysły dwie smugi promieni, skronie rozjaśniły się niby ślepią świętego smoka a czoło sfałdowało się zmarszczkami, jak grzbiet żółwia. Siedm stóp wysoki stał wyprostowany mędrzec, jak wyniosła sosna i odrazu ujawniły

się wszystkie jego czterdzieści dziewięć zdumiewających właściwości.

Kung-fu-tse mówił:

— To jest nauka pustelników i mizantropów, których nie będziemy naśladować. Pogardzam ich zasadami. Nie będziemy podobni do ptaków i dzikich zwierząt, ani nie bierzmy przykładu z północnych lub wschodnich barbarzyńców. W ustroju państwowym nie można bez prawodawstwa osiągnąć szczęśliwego spokoju i wyższego stopnia współzycia, zarówno gdy ludzie są źli, jak i wtedy, gdy obywatele będą doskonale dobrzy i cnotliwi.

— Dlaczego tak mistrz mniema? — spytał się uczeń Czung-kung.

Kung-fu-tse mówił dalej:

— Gdy tłum chce przez otwarte wrota wejść do domu i wszyscy są tak źli, że nikt drugiemu nie da pierwszeństwa, to w rezultacie nigdy w zgodzie nie wejdą do domu. Odwrotnie — gdy tłum chce przez otwarte wrota wejść do domu i wszyscy są tak dobroduszni, że każdy pragnie być ostatnim, to w rezultacie wśród tysiącznych pokłonów nikt nie wejdzie do domu. Kto ma być pierwszym, kto drugim a kto ostatnim?..

Kung-fu-tse kończył swą przemowę:

— I dlatego ustanowionem zostało prawodawstwo, każdy zna swą kolej. Każdy wie, że ojciec idzie przed matką, matka przed synem, syn przed córką, starszy przed młodszym. Bez racjonalnych norm i zasad nikt nie ma pojęcia kiedy powinien brać a kiedy dawać, kiedy stać a kiedy siedzieć. I dlatego nie wystarcza dla państwowego porządku, że wszyscy poddani będą cnotliwi — prawodawstwo zawsze istnieć musi dla wzajemnej regulacji ludzkich stosunków.

Stare i nowe światło.

Późną nocą starzec, wracając z wizyty, dowlóki się wreszcie do bramy swego domu. Na ulicy było prawie zupełnie cicho. Wszystko spało, w paru tylko oknach błyszczało światło. Starzec drżącą ręką wyjął klucz z kieszeni, obrócił go w zamku i wolno otwierał bramę, spiesząc się do snu i wytchnienia.

Nagle z przeciwległego końca ulicy wypadła hurmem zgraja chłopaków. Każdy z nich do długiego kija przytwierdził jasno gorejącą świecę i wśród śmiechu i krzyku, biegli w nieporządku przez ulicę, wołając:

— Nowe światło! Zbudźcie się, nowe światło! Wynaleźliśmy nowe światło.

I przybliżając improwizowane lampiony do starej ulicznej latarni, kpili sobie z jej żółtego, słabego blasku. Starzec wreszcie rozżołościł się.

— Co za banda łobuzów — szepnął sam do siebie. — W spokojną noc robić taki hałas, dla błahostki budzić uśpione miasto i niepokoić zmęczonych ludzi. I po co?... Czyż nie mamy starego światła, przy którym spędziliśmy całe życie? Odrazu potrzebne im nowe!... I jakie ono jest brzydkie i jaskrawe, jak psuje wzrok swym bezczelnym blaskiem!

I przestłoniwszy oczy ręką, starzec zwrócił się do chłopców:

— Ej, wy, łobuzy! Może uspokoiacie się nareszcie?... Czy teraz pora do hałasu na ulicach?... Czyście się powściekali?!...

Wtedy jeden z chłopców przybliżył swój lampion prawie do jego nosa i powiedział:

— Przypatrz się, starowino! Co powiesz o nowem świetle?... Prawda, że uliczna latarnia nie wytrzymuje z niem porównania?

— Idźcie mi precz z oczu, zuchwali ulicznicy!—zawołał starzec—nie machajcie mi przed twarzą waszemi pochodniami, nowe światło razi me oczy. Precz!...

— Idź spać, stare światło!—chórem odrzekli mu chłopcy i z krzykiem i śmiechem w najszybszym biegu pomknęli w inne ulice, trzęsąc dumnie lampionami.

— Zwyródniata młodzież! ludzie bez czci i wiary! Cnota porzuciła świat!—powtarzał cicho starzec, stojąc przed półotwartą bramą i patrząc na ginący w oddali zastęp wesołych chłopców z lampionami. A z okien wychylały się już ciekawe głowy i garstka ludzi wyszła na ulicę.

— Ale ja nie chcę znać nowego światła, idę do swego domu i udam się na spoczynck — powiedział sam do siebie starzec, zamknął bramę i zmęczonym, ciężkim krokiem zaczął wchodzić na schody.

Potrzeba piękności.

Pustelnik Vanāprastha rozmyślał na szczycie góry Gridhrakuta prawie przez sto lat o najzawilszych zagadkach bytu. I nagle wśród dociekań wezbrała w ascecie potrzeba piękności.

Bogowie zawsze chętniej zaspakajają podstawowe wymogi ludzkiej natury, niż najgorętsze modły swych czciocieli, ale, niestety, wyczerpali już dla innych ludzi cały

zapas piękna, więc wzięli stare, ohydne babsko, otulili je w mgłę i kazali mu się unosić nad chatką anachorety.

Gdy pustelnik ujrzał obrzydliwą wysłankę bogów, prędko przesłonił rękami oczy, by nie oślepnąć od promiennego blasku tak niesłychanej piękności.

A po dziesięciu latach uczniowie zastali go jeszcze w tej samej pozycji. Nie poruszając się, asceta zawołał w ekstazie do nadchodzących:

— W tej chwili zstąpiła do mnie ta niebiańska piękność. Jestem ledwo u progu zachwyty. Nie przeszkadzajcie mi, bym nie stracił na próżno najpiękniejszycn mgnień mego życia.

I znów utkwiał marzący wzrok we wstrętną babę, która w welonie mgieł unosiła się nad nim na powietrznej fali.

Uczniowie zaś, pełni czci dla bogów i Vanāprasthy, wolno zeszli po stokach góry.

Tłom. z niemieckiego

Lucyan Konarski.

Dr. Feliks Auerbach
Profesor Uniwersytetu Jenajskiego.

WŁADCZYNI ŚWIATA I JEJ CIEŃ.

Odczyt o energii i entropii.

I.

Jeżeli prawdą jest, że byt państwowy wówczas dopiero zaczyna być godnym dumnej tej nazwy, gdy otrzymuje ustawy zasadnicze, które jako najwyższe podstawowe prawo państwowe, nad wszystkim panują—tedy ze stanowiska przyrodnika musimy powiedzieć: świat nauki przyrodniczej zdumiewająco jest młody. Albowiem od kilku zaledwie dziesiątków lat jesteśmy w posiadaniu prawa podstawowego, któremu podporządkowywać się muszą wszelkie sprawy przyrodzone, prawa zachowania siły—jak mówiono dawniej—prawa zachowania energii, według dzisiejszej, lepiej dobranej nomenklatury. Nad wszystkim, co rozgrywa się w nieskończonej przestrzeni, w potoku upływającego czasu, tronuje energia, jako bogini, jako królowa, która biorąc tutaj, owdzie zaś dając, ostatecznie ani daje, ani bierze. Bez różnicy żadnej, w bezwzględnej swej sprawiedliwości, stosuje ona swą władzę: pyłek mi-

zerny i genialnego człowieka opromienia ona swym spokojnym, wiecznie jednakowym blaskiem.

Ale gdzie jest światło, jest także cień: a cień, jaki władczyni świata—energia, rzuca po za siebie, głęboki jest i czarny, wielokształtny i ruchomy. Zdaje się, jakgdyby miał on samodzielne swe życie, jakgdyby nawet pretendował do rządzenia światem na swoją rękę i to nie w tym samym, co energia kierunku. Przy rozważaniu go niepodobna oprzeć się niepokojącemu poczuciu, że cień ten jest złym demonem, który zechce uszkodzić, jeżeli nie zupełnie zniszczyć to, co demon promienisty chce wnieść wielkiego, pięknego i dobrego w życiu. Tego złego demona nazywamy entropią i okazało się, że on rośnie i rośnie, że powoli, ale pewnie rozwija on złośliwe swe dążności. Jakież gwarancje spokoju—trzeba zapytać—może nam dać na dłuższy przeciąg czasu nasza „ustawa zasadnicza“, skoro istnieją czynne siły, ustawicznie ją podkopujące? „Cóż dać nam może na dłuższy przeciąg czasu energia, skoro im bardziej świat postępuje, im bardziej zapada na ziemi wieczór, cień jej staje się dłuższym i dłuższym, by w końcu wszystko pogrążyć w noc ciemną?“

Wszyscy my znajdujemy się pod ochroną energii i wszyscy wystawieni jesteśmy na działanie wszechprzenikającej trucizny entropii. Czyżby i dla nas, przy jakiegokolwiek części gmachu świata, przy jakiegokolwiek części ideału ludzkości jesteśmy czynni, nie warto było zachodu, by zapoznać się z istotą owych dwu demonów, bliżej rozpatrzeć ich działanie? Nie przez mikroskop specjalisty, z którym nie umiemy się dostatecznie delikatnie obchodzić, by oglądać tak eteryczne rzeczy we właściwym świetle; lecz przez lupę amatora, któremu, lubo pewnych

szczegółów się zrzeka, przecież udaje się widzieć dużo z tego, co dotychczas dlań pozostawało w ukryciu.

Subtelne zawsze czucie języka sprawiło, że energia i entropia żeńskie otrzymały imiona. A zgłębienie istoty kobiety było, jak daleko sięga pamięć ludzka, jednym z najbardziej najeżonych trudnościami zadań. Zapewne—i tutaj bywają różnice i jeżeli z Penelopą, która dniem i nocą pozostaje niezmienną w swej wierności małżeńskiej, już gimnazista daje sobie w ogólnych rysach radę, to przecież i najdojrzszych ludzi zaprzęta pytanie, co może drzeć w najwewnętrzniejszej głębi duszy Kirke, ciągle zmian żadnej. Podobnie i energia, wprawdzie dopiero po wieki trwających walkach, istotę swą jasno zupełnie dała poznać; ale tem kapryśniejszą i bardziej nieobliczalną okazała się entropia; zawsze, ilekroć zdawało się, że się jest jej blisko, natrafiało się na nową zagadkę; tak daleko nawet rozciąga ona zły swój czar, że starała się i niekiedy z pewnem powodzeniem—rzucić podejrzenie na swą dobroduszną siostrę, podszeptując nam: Nie dowierzajcie jej, ona nie jest tem, czem się zdaje. Ale praca myśli ostatnich dziesiątków lat, pozwoliła nam oprzeć się takim sztukom i teraz, na progu dwudziestego stulecia, wiemy, jak się ma rzecz z naszymi siostrami.

Kto na początku feryi letnich uda się odrazu na południe, by piąć się na szczyt Ortleru, postąpi, oczywiście nieopatrznie. Doświadczony podróżnik będzie wołał zacząć od jednej lub dwu wycieczek próbnych mniej forsownych, aby naoliwić zardzewiałe śród życia zawodowego stawy. Weźmy i my z tego przykład i zanim wyruszymy na wyprawę na wysokie szczyty, w obszary górnych abstrakcyj, odbądźmy naprzód wycieczkę natury prostszej i konkretniejszej. Konkretniej, albowiem idzie o rozpowszechnioną

wszędzie we wszechświecie materję, o ową substancję widomą i namacalną, która nas zewsząd otacza i z której nawet zbudowane jest nasze własne „ja“ — o ile jest cielesne.

Tej to materji dotyczy pewne twierdzenie, pewna zasada, która byłaby z pewnością o wiele sławniejszą, niż nią jest w rzeczywistości, gdyby jej ludzie naiwni nie uważali przeważnie za rozumiejącą się sama przez się i co za tem idzie, gdyby kiedy im się tę zasadę oznajmia, nie traktowali jej z pewnem lekceważeniem—zupełnie niesłusznie; jak dowodzą dzieje nauki.

Twierdzenie nasze brzmi: suma materji we wszechświecie jest niezmienna; innemi słowy: materji niepodobna ani stworzyć, ani zniszczyć. Jest to twierdzenie o stałości masy, albo — mówiąc popularniej — o zachowaniu materji. Oba wyrażenia mówią jedno i to samo, tylko pierwsze w ściślejszej postaci, albowiem materja występuje tam zaraz w ilości wymierzonej w postaci masy, to jest w gramach lub kilogramach. Twierdzenie nasze głosi więc tylko, że ta masa pozostaje we wszechświecie jednokową — nie więcej — zaś jej jakość może się ustawicznie zmieniać, co też się na najszerszą skalę odbywa.

Wyraziliśmy nasze twierdzenie odrazu w najrozleglejszej postaci, jaką można mu nadać, albowiem w powyższem sformułowaniu, ściąga się ono do całego świata; stosuje się ono atoli, przy zachowaniu pewnego warunku i do każdej dowolnej części świata, do każdego dowolnego kompleksu ciał lub mas. Warunek polega na tem, aby kompleks ten był oddzielony od pozostałego świata, od świata zewnętrznego w sposób uniemożliwiający przenikanie materji; jeżeli warunek ten jest zachowany, tedy wszelkie procesy, zachodzące w granicach tego obszaru, nie mogą

w niczem zmienić zawartej w nim ilości materyi, zawartej w nim masy. Jeżeli układ nie jest materyalnie wyodrębniony, tedy można go uzupełnić przez dodanie wszystkich tych kompleksów, z którymi łączy go stosunki wymienne co do materyi i w tem znaczeniu mówi się o układach materyalnych „niezupełnych“ i o układach materyalnych „zupełnych“. Twierdzenie nasze powiada tedy, że masa każdego zupełnego układu materyalnego pozostaje niezmienną.

Jak potężną jest doniosłość zasady zachowania materyi, dowodzi najlepiej fakt, że dopiero świadome stosowanie jej w chemii, zrobiło z chemii prawdziwą naukę — przedtem była ona areną turniejów pomysłowych idei, zręcznych eksperymentów i życzeń fantastycznych. Nauką w trzeźwym, ściśłem tego słowa znaczeniu, stała się chemia dopiero, gdy przed stu laty wzięto wagę w rękę, ustanowiono przy jej pomocy ciężar ciał, czyli—co dla naszego tematu jest równoznaczne—ich masę i w ten sposób stwierdzono w niezliczonej ilości wypadków, że przy wzajemnem łączeniu się lub rozłączaniu ciał, przy najrozmaitszych chemicznych zmianach i przemianach, suma mas wszystkich ciał biorących udział w tych procesach, jest w końcu ściśle taka sama, jak na początku. Gdy np. ciało się spala, czy to prędko i płomieniem, czy też zupełnie wolno, jak rdzewiejące żelazo, tedy nie traci ono materyi, jak sądzono dawniej, lecz przeciwnie, masa jego się zwiększa, jak o tem poucza waga; bliższe badanie wykazuje, że przyrost stanowi tlen, że ten tlen pochodzi od otaczającego powietrza i że powietrze ściśle tyleż traci masy, ile jej przybiera palącemu się ciału. Wszystkie próby, przeprowadzone w ciągu ostatnich stu lat, okazały, że przy żadnym procesie, najprostszym czy najzawilszym, materya nie tworzy

się i nie ginie — i jeżeli szereg badań z najostatniejszych czasów, przeprowadzonych przy pomocy możliwie najsubtelniejszych środków, dowiódł, że niektórym reakcyom chemicznym towarzyszą zmiany ciężaru (oczywiście bardzo małe), to nie wynika ztąd jeszcze nic przeciw stałości masy. Prawo zachowania materji stało się dlatego podstawą całej nauki, podstawą chemii i dopiero ze zjawieniem się tej podstawy, z wprowadzeniem do chemii wag przez Lavoisiera, zasługuje chemia na nazwę nauki ścisłej.

Podstawą chemii nazwaliśmy zachowanie materji, odgrywa ono wszakże inną jeszcze rolę. Zachowanie materji jest także gwiazdą przewodnią na niebie chemika; musi on mieć na nią zwrócony wzrok, by nie zgubić właściwej drogi; ona to doprowadzić może do wybrzeży, których noga jego jeszcze nie deptała. Najnowsze właśnie czasy dostarczają w tej mierze prawdziwie świetnego przykładu.

Prawo zachowania materji daje chemikowi w jego doświadczeniach, możność kontroli, która w postaci krótkiej a pospolitej brzmi: „analiza musi wypaść“. Jeżeli „wypada“, tedy zadanie jest rozwiązane. Jeżeli nie wypada, to jest jeżeli z części nie otrzymuje się znowu całości, to przedewszystkiem możliwy jest błąd czy to w eksperymencie, czy w rachunku; jeżeli i tego niema, tedy należy wniesć, że jesteśmy na tropie jakiejś tajemnicy, że w badanej sprawie chemicznej bierze udział jeszcze jakaś nieznaną substancją. Świetny w tej mierze przykład, jak to wzmiankowaliśmy powyżej, dotyczy naszego powietrza atmosferycznego, o którem wszak możnaby sądzić, że skład jego już oddawna dokładnie nam jest znany. Kiedy przecież przed paru laty badacz angielski, lord Rayleigh, przeprowadził niezmiernie subtelne doświadczenia,

okazało się, że analiza powietrza „nie wypadła”—i podejrzenie, że powietrze atmosferyczne musi zawierać nieznaną nam jeszcze składnik, najzupełniej się potwierdziło, albowiem znaleziono kolejno pół tuzina takich składników, w ilościach wprawdzie względnie małych, ale bezwzględnie tak w atmosferze obfitych, że je teraz można kupować butelkami!

Pomimo to wszystko, pomimo tryumfów, jakie święciło nasze prawo, bądźmy pomni na to, że umiarkowanie i ostrożność są prawdziwymi oznakami mądrości i nie żądamy dla naszego prawa jeszcze większego pola stosowności niż to, jakie zakreślają mu powyższe wywody. Będziemy się go trzymali, póki to będzie możliwe; jeżeli przeciwstawią nam jakie zjawisko, sprzeczne z owym prawem, tedy złożymy broń i powiemy: tutaj jest granica badań przyrodniczych. Wielkie zjawisko, które taką może odegrać rolę, zapewne już się nasunęło myśli czytelników samo przez się: jest to opowiedziane w najpierwszej i w największej ze wszystkich ksiąg—stworzenie świata. Wobec tego aktu, przyrodnik musi przedewszystkiem, pomny na prawo, według którego materya nie może powstawać, stanąć na gruncie sceptycznym i wystawić jako konsekwencję owego prawa: świat istniał zawsze i zawierał zawsze tyleż materyi, co obecnie. Ale następnie, by nie odstrychnąć od siebie tych, którzy nie są skłonni do wyrzeczenia się myśli o stworzeniu, powie on im: dobrze, wiercie w stworzenie, odbyło się ono przed ustanowieniem naszego ładu świata; wiercie także w cuda, które tworzą lub niszczą materię, cuda takie oznaczają przerwę w przyrodzonym stawaniu się i kreślone są na innym arkuszu niż poznanie przyrodniczo-naukowe; pozatem wszakże, w ograniczonym w ten sposób zakresie poznania przy-

rodniczego niema nic, na coby poglądy nasze były niejednokowe, nic, coby nam przeszkadzało pod jednym kroczyc szandarem: pod szandarem prawa zachowania materji.

III.

Czy zachowanie materji jest jedyną gwiazdą przewodnią na niebie przyrodnika?

Pytanie to, w myśl poprzednich wywodów, równoważne jest z pytaniem: Czy chemia jest jedyną nauką? Na ostatnie to pytanie odpowie czytelnik bez namysłu przecząco, nawet samo postawienie go wyda mu się dziwnem. Czyż niema fizyki i astronomii, mineralogii i geologii, botaniki i zoologii, czyż do nauk przyrodniczych nie należy też nauka o ziemi oraz o człowieku a ta ostatnia ze wszystkimi swemi gałęziami aż do medycyny włącznie? Odpowiedź taka byłaby przecież wynikiem nieporozumienia. Astronomia nie jest niczem innem, tylko fizyką ciał niebieskich—a co w tych opisowych naukach przyrodniczych, pomijając prosty opis, stanowi prawdziwą i ścisłą naukę, to znowu niczem nie jest innem, tylko fizyką, albo chemią. Jest to zupełnie jasnem odnośnie do minerałów: są one związkami chemicznymi lub mieszaninami a formy ich, kryształy, poddane są prawom fizycznym. To samo dotyczy organizmów roślinnych i zwierzęcych; tylko że tutaj przynajmniej w obecnym stanie wiedzy, mamy jeszcze trzeci czynnik, mianowicie ogół wszystkich oddzielnych zasad życia w nowych lub starych postaciach, jak: siła życiowa, rozwój, dobór, dziedziczność, przystosowanie, i t. d.—zasad, o których obecnie nie można jeszcze powiedzieć, czy się je ostatecznie będzie mogło sprowadzić do

podstaw fizycznych i chemicznych. W każdym razie są to sprawy, których nie można jeszcze ująć ściśle, w matematycznym tego słowa znaczeniu. Wszystko, co jest ścisłego w naukach przyrodniczych, należy do chemii albo fizyki; tak więc na postawione na początku tych rozważań pytanie, można odpowiedzieć, jak następuje: chemia posiada naukę-siostrę—w fizyce. Poszukajmyż teraz zasady podstawowej, która — podobnie jak chemikowi zasada zachowania materii — przyświeca, jako gwiazda przewodnia, fizykowi wzdłuż zawitych ścieżek jego badań.

Cóż to jest fizyka i jaki jest jej stosunek do koleżanki-chemii?

Mówiono dawniej — i na chwilę przyjmijmy to wyrażenie—fizyka jest nauką o siłach w przyrodzie, jak chemia nauką o materii w przyrodzie. Materia i siła — oto składniki przeciwstawne przyrody; oto ów dualizm, który usiłowały pokonać oświecone umysły wszystkich czasów, zamienić na monizm — z jakim powodzeniem, o tem nie tu miejsce mówić. Jak w przyrodzie istnieje złoto i srebro, woda i powietrze, chlorofil i białko, tak też spotykamy siły poruszające, cisnące, nagrzewające, oświetlające, elektryzujące i magnetyzujące—i jak każda sprawa chemiczna jest grą materii, tak też każda sprawa fizyczna jest grą sił. Nie znaczy to, że tam idzie tylko o substancję, tu o siły; albowiem i przy sprawach chemicznych wchodzi w grę siły i procesy fizyczne związane są ze światem ciał: ale tam budzą interes sprawy substancjonalne, tu zjawiska sił.

Zapewne ciśnie się już czytelnikowi na usta szukana zasada podstawowa fizyki (a tem samem i całej ścisłej nauki przyrodniczej): zachowanie siły. Całkiem słusznie, o ile trzymamy się sposobu wyrażania, który był

w powszechnem użyciu w przeciągu przeszło stulecia. Ale od owego czasu staliśmy się i pod względem formalnym ściślejszymi i co do używania tak ważnych wyrazów, jak „siła“, przeprowadziliśmy gruntowną pracę krytyczną. Filozofowie, osobliwie dawniejszemi czasy, nie krępowali się bynajmniej, nadawać starym wyrazom coraz to nowe znaczenia i wielką przedstawia doniosłość stwierdzenie, przy pomocy niedawno wydanego w tym przedmiocie dzieła, przez jakie koleje przechodziły w biegu czasów prawie wszystkie wyrazy, stanowiące skarb mowy filozoficznej. Jest to prawdziwy kalejdoskop, którego obrazy mogłyby nas zachwycać, gdyby różnaitość kształtów nie była w nich już za bogata i gdyby nie budziły one w nas chęci zobaczenia owego prostego kawałka szkła, któremu zawdzięczają swoje istnienie — chociażby to miało się stać za cenę rozłamania samego przyrzędu. Zrobimy to w interesie wzajemnego porozumienia się. Siła ma być tylko tem, co w celu zaspokojenia naszej potrzeby przyczynowości, wyobrażamy sobie jako przyczynę obserwowanego w przyrodzie zjawiska, które tem samem uważamy za skutek tej przyczyny — a więc coś, o czem nie wiemy i wiedzieć nie możemy nic obiektywnego, dlatego poprostu, że nie jest ono niczem obiektywnem i te tylko posiada cechy, jakie subiektywnie mu przypisujemy przy każdym szczególnem upostaciowaniu owego związku przyczynowego. Wobec tego jest też jasnem, że o sile w tem oderwanem znaczeniu tego wyrazu, nie można powiedzieć nic, coby mogło stać się podstawą zasadniczą świata rzeczywistego. Jeżeli i w fizyce istnieje jakaś zasada zachowania, jeżeli istnieje coś, co ma pozostać stałym, niezmiennem przy wszystkich nieskończone rozmaitych procesach

przyrodzonych, tedy nie może to być nic tak abstrakcyjnego, jak siła, musi to być coś realnego, jak substancya, chociażby nawet nie było namacalne ani widzialne.

„Czy wogóle istnieje coś, co jest równie realnem, jak materya?“ Na czem ma polegać realność tego szukanego „czegoś?“ Proponuję kryterjum realności, nieco pospolite i trywialne, ale którego wartości nikt chyba nic nie zarzuci; kryterjum, które czerpie z codziennego życia, z najbanalniejszej rzeczywistości i którego znaczenie każdy może bardzo łatwo sprawdzić na własnej swej osobie. Czy istnieje, pytajmy, prócz materyi, jeszcze coś, co kosztuje pieniądze? Na pytanie to każdy chyba dziś znajdzie odpowiedź: praca kosztuje pieniądze i często o wiele więcej pieniędzy niż substancya, którą ona przetwarza; w nowoczesnym mikroskopie, kosztującym — weźmy dla przykładu—1,000 marek, materyał kosztuje conajwyżej 100 marek, wszystko inne przypada na pracę. Nie będziemy tu, jak ekonomiści, odróżniali ryzyko i przedsiębiorczość, pracę fizyczną i psychiczną, pracę człowieka i maszyny, ale obejmiemy wszystko pojęciem pracy.

Otóż mamy to, czegośmy szukali: za materyę musimy płacić i za pracę musimy płacić; obok materyi istnieje coś jeszcze, równie jak ona realnego: praca.

Skorośmy raz poruszyli stronę pieniężną, tedy spróbujmy skorzystać z niej dla wyświeślenia kwestyi, czem właściwie jest praca? Najmijmy więc robotnika i poleśmy mu, aby przeniósł nam tyle a tyle cegieł, na taką a taką wysokość. Tę pracę możemy opłacić w dwojaki sposób: przedewszystkiem możemy płacić człowiekowi poprostu za czas, w ciągu którego był on czynny, czyli za godziny, niezależnie od tego, co zrobił w ciągu tej godziny, krótko mówiąc, najmujemy go na „lon dzienny“. Ma to swoje

złe strony: w wypadku robotnika nierzetelnego, albowiem mając zapewnioną płacę, będzie on skłonny do lenistwa, w wypadku robotnika pilnego, albowiem nie będzie on wynagrodzony za szczególną, swoją gorliwość. Nadto wynik pracy nie rośnie, nawet u jednego i tego samego robotnika, w stosunku prostym do czasu, ale na skutek znużenia rośnie on stopniowo coraz wolniej; w ostatnich czasach dowiedziono praktycznie w licznych wypadkach, że przy dziewięciogodzinnym dniu roboczym tyleż wytwarza się co przy dziesięciogodzinnym.

Pod wszystkimi temi względami jest daleko doskonałym drugi sposób wynagradzania pracy: płaca akordowa, czyli od sztuki, płaca według rzeczywistego jej wyniku *). W wielu wprawdzie wypadkach niepodobna ująć tego wyniku w cyfry, np. dla wermajstrów fabrycznych, i t. p. Albo też, aby wziąć przykład z innej dziedziny, przy nauczaniu; albowiem nie mogę powiedzieć nauczycielowi muzyki: dostanie pan 5,000 marek, jeżeli syn mój zostanie Joachimem. W takich wypadkach musimy tedy pozostać przy płacy za czas i pocieszać się tem, że dzięki różniczkującemu wpływowi praktyki i tutaj zjawia się z czasem pośrednio miara wyników pracy w taki sposób, że sprawny wermajster dostanie większą płacę go-

*) Oczywiście, wszystkie te rozważania szan. autora, zmierzające do wyświeatlenia fizycznego pojęcia pracy, nie mogą rościć sobie pretensyi do jakiegokolwiek wartości ekonomiczno-społecznej — śmiesznem poprostu byłoby dla każdego, cokolwiek obytego ze sprawami społecznemi, widzieć w nich „naukowe“ uzasadnienie płacy akordowej.

(Przyp. tłóm.)

dzinną od mniej sprawnego, dobry nauczyciel większą od gorszego.

W nauce mierzymy pracę jedynie według jej wyników a więc w owym wypadku typowym, gdy idzie o pokonanie przyciągania ziemi, mierzymy ją iloczynem podniesionego ciężaru przez wysokość podniesienia, ogólniej: iloczynem siły przez przestrzeń. Jeżeli więc ów robotnik podnosi zamiast jednej cegły—dziesięć, tedy, ponieważ pokonywa on dziesięciokrotną siłę (ciężkość, waga), wykonywa i dziesięciokrotną pracę; wykonywa on również dziesięciokrotną pracę, jeżeli jedną cegłę podnosi nie na wysokość jednego, lecz dziesięciu metrów—a jeśli podnosi dziesięć cegieł na wysokość dziesięciu metrów każda, tedy wykonywa pracę stokrotną.

Praca jest tedy podniesieniem ciężaru na wyższy poziom, czy wyrazy te rozumiemy dosłownie, czy też w przenośni, dosłownie w wypadku robotnika budowlanego, przenośnie dla nauczyciela, który ma podnieść opierającą się masę ucznia na wyższy poziom duchowy i którego praca jest tem większa, im wyższy jest poziom, jaki należy osiągnąć oraz im oporniejsza masa, to jest im mniej zdolny uczeń — analogia między rzeczami fizycznymi i psychicznymi tak dobra, że bardziej pogładowej i doskonalszej życzyć sobie chyba nie można.

IV.

Powracając teraz do naszego przeciwieństwa materji i pracy—przeciwieństwa, które, jak każde przeciwieństwo, jest właściwie powinowactwem — możemy przeprowadzić następującą paralelę: wszelka materya, jakiej się używa, pochodzi z zapasu materji świata; cukier, który zakupuje

gospodyni, z zapasu cukru kupca, węgiel, dostarczany przez towarzystwo tej lub owej kopalni, z zapasów węgla wnętrza ziemi. Zupełnie tak samo wszelka dostarczana praca pochodzi z zapasu pracy świata.

Dla tego zapasu pracy wprowadzono specjalną nazwę i wobec tego, że współczesna nauka ma charakter jednocześnie klasyczny i międzynarodowy, zrozumiałym jest i odpowiednim, że nazwę tę zapożyczono ze skarbu mowy greckiej; przytem nazwa ta w pewnym znaczeniu dawno już zyskała prawo obywatelstwa w potocznym języku nowoczesnym. Zapas pracy świata nosi nazwę energii a zapas pracy, tkwiący w jakiejś części świata, np. w jakimś ciele, nazywa się energią tego ciała.

Wszędzie, gdziekolwiek spojrzymy, widzimy materię—wszędzie, gdziekolwiek obrócimy wzrok, znajdujemy także energię; jak materia, tak i energia znajduje się tu w stanie spoczynku, owdzie w stanie ruchu, to jest zmiany miejsca, gdzieindziej znowu podlega ona przekształceniu—i jak chemia jest nauką o przemianach materji, tak jest fizyka nauką o przemianach energii.

Dobrze jest rozumieć wyrażenie: „w ciele tkwi energia“, nie przenośnie, ale przeciwnie, jaknajkonkretniej. W lecącej kuli armatniej znajduje się nie tylko kilka kilo metalu, ale także porządna porcja energii; jedno jest równie prawdziwe i rzeczywiste, jak drugie. Tak samo rzecz się ma z naciągniętą sprężyną zegarka, albo z zapasem dynamitu. Materia nie jest bardziej realną niż energia; tak jedna jak druga dają się poznać jedynie przez swe działanie; materia przez działanie na zmysł dotyku, to jest przez to np., że stawia ona pewien opór moim, dotykającym ją palcom, oraz przez działanie na moje oko, czyli przez wywoływanie określonego wrażenia i barwy;

energia przez swe działania specyficzne—a niepodobna przecież w wypadku uderzającej kuli armatniej, albo wybuchającego ładunku dynamitu, twierdzić, że są to działania mniej od tamtych realne.

Energia jest tedy czemś realnem, z czem możemy obchodzić się, jak z materją, co możemy kupować i sprzedawać, używać i trwonić, co podobnie jak materja liczne posiada rodzaje: energia bywa mechaniczna i dźwiękowa, ciepła i świetlna, magnetyczna i elektryczna, chemiczna i życiowa; wreszcie jest ona i pod tym jeszcze względem realną, że ją podobnie jak materję, można dokładnie mierzyć.

Dotknęliśmy tu ważnego a trudnego punktu: jak mierzy się energię oraz jednogatunkową z nią i z niej płynącą pracę? Odpowiedź na to pytanie budzi w fizyku pewną zawiść względem chemika. Do mierzenia wszelkich rodzajów materji istnieje jeden i ten sam przyrząd: waga; uważamy za rozumiejące się samo przez się, że można z jej pomocą ważyć złoto i kwas siarczany, zboże i książki. Niestety, dla energii niema nic analogicznego, niema powszechnej wagi dla energii i niema też poważnych widoków na to, by się kiedy udało skonstruować taki przyrząd. W zasadzie nie jest to wykluczone, albowiem wszystkie rodzaje energii są — że tak powiemy — dziećmi jednego ducha; atoli rzeczywiste wykonanie tego jest nieprawdopodobne.

Dla każdego rodzaju energii mamy więc oddzielne przyrządy miernicze: energię mechaniczną mierzymy dynamometrem i innemi znanemi technikom przyrządami. ciepło kalorymetrem, energię elektryczną — znanym dziś nawet gospodyniom zegarem elektrycznym, i t. d.

Wobec tego pocieszającym jest, żeśmy obecnie jedno przynajmniej osiągnęli: wspólne jedności miary dla wszelkich postaci energii, to jest to, czem jest dla materii w nauce gram, w praktyce zazwyczaj kilogram.

Po tem, co wyżej było powiedziane, o naturze pracy, o jej mierzeniu według miary jej działania, nie może już być wątpliwości, jaką mamy przyjąć jedność miary dla pracy i energii. Musi ona, stosownie do owego przykładu podnoszonego ciężaru, zawierać jedność masy oraz jedność długości — i jeżeli, stosując się do utartego w praktyce zwyczaju, weźmiemy za jedność miary kilogram a za jedność długości metr — wtedy otrzymamy jako praktyczną jedność pracy „kilogramometr“, to jest pracę, wykonywaną, gdy kilogram ciężaru podnosi się na wysokość jednego metra. W nauce jest w użyciu inna jedność: „erg“. Ścisłe określenie jego wartości zadalekoby nas tutaj zaprowadziło; aby dać o nim jakietakie pojęcie, musimy się przeto ograniczyć uwagą, że wynosi on przybliżenie tyle, co praca, wykonywana przy podnoszeniu miligrama (tysięczna część grama, w pudełkach z gwichtami do bardzo subtelnych wag miligram wyobraża maleńki kawałek cienkiego drucika aluminiowego) na wysokość centymetra; mówiąc dokładniej, erg jest o około 2 proc. większy od tej pracy. W każdym razie widzimy, że jest to praca ogromnie mała, tak, że dla celów technicznych używa się wielokrotnych tej jedności, np. kiloerg (1,000 ergów) i megaerg (milion ergów). Jak małym jest erg, można wnieść bodaj z tego, ile on kosztuje. W naszych warsztatach elektrycznych liczy się zwykle na „kilowatt-godziny“, co jest tylko innym wyrażeniem dla ilości energii równej 36 bilionom ergów — a taka kilowatt-godzina kosztuje około 36 fenigów (oczywiście, cena ta w różnych warunkach ulega waha-

niom); wypada tedy, że praca erga warta jest jedną bilionową feniga!

A jednak myliłby się ten, kto by mniemał, że w takim razie erg jest wielkością mniejszą od wszystkiego, co odgrywa jakąś rolę w przyrodzie lub życiu ludzkim i że nie należało wcale wprowadzać takiej jedności, która nic nie przedstawia. Rzeczywiście, weźmy z pośród wielu innych, jeden przykład z dziedziny dźwięku. Niedawno przedsięwzięto zmierzenie pracy, wykonywanej przez dźwięk, uderzający o naszą błonę bębenkową; okazało się, że jeżeli praca ta wynosi jedną tysięczną erga, tedy dźwięk, jaki słyszymy, jest jeszcze bardzo głośny, że i wówczas jeszcze otrzymujemy wyraźne czucie dźwiękowe, gdy ta energia wynosi jedną milionową erga! Nowy przykład zaledwo ująć się dających kontrastów w przyrodzie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przełożył M. H. Horwitz

Piśmiennictwo polskie.

Zdziarski Stanisław: „Bohdan Zaleski“. Studium biograficzno-literackie. Lwów, Towarzystwo wydawn. 1902, in 8°, str. XV + 420.

Studium p. Stanisława Zdziarskiego o Bohdanie Zaleskim, z wielu względów a przede wszystkim ze względu na swoją obszerność—jest do pewnego stopnia prawdziwą niespodzianką. Wprawdzie przypadająca w roku bieżącym setna rocznica urodzin „słowika ukraińskiego“, kazała oczekiwać społeczeństwu polskiemu mniej lub więcej obszernej pracy o B. Zaleskim, ale nie w tak znacznych rozmiarach, boć poeta to dziś prawie zupełnie nieczytany. Zresztą, pisano o nim niemało (Siemieński, Duchńska, Bem, Nehring, Chmielowski)—a i nic też nowego o jego twórczości powiedzieć się nie da; nic też nowego pod tym właśnie względem i praca p. St. Zdziarskiego nie przynosi. Z drugiej zaś strony, nie doprowadzono jeszcze do końca wydania korespondencyj Bohdana Zaleskiego—i ta okoliczność, zdawałoby się, powstrzyma badacza żywota poety od wydania monografi na „termin“ stuletniej rocznicy jego urodzin. Że więc do pracy swej p. Zdziarski korzystać mógł tylko z dwóch tomów wydawanej przez syna poety, p. Dyonizego Zaleskiego, „Korespondencyi“ — żałować bar-

dzo należy, albowiem właśnie część biograficzna wymienionego studjum p. Zdziarskiego, oparta na tej korespondencji, przynosi sporo nowych szczegółów, dotychczas nieznanych i w odmiennem świetle przedstawia niektóre kwestye, związane z życiem „słowika ukraińskiego“.

Że Bohdan Zaleski mimo, iż dziś jest on prawie zupełnie nieczytanym, zasługiwał na rzetelne i wyczerpujące studjum (praca Duchńskiej np. roi się od licznych błędów)—o tem dwóch zdań być nie może—wszak był on jednym z pierwszych i głównych twórców naszego romantyzmu i również jednym z pierwszych, którzy pieśń gminną, nutę ludową, do poezyi artystycznej wprowadzili.

Setna więc rocznica urodzin Bohdana Zaleskiego sprawiła, że autor „Pierwiastku ludowego w poezyi polskiej XIX wieku“, p. Stanisław Zdziarski—tak pospieszył z wydaniem swej pracy o „słowiku ukraińskim“, do której, oprócz dwóch wymienionych wyżej tomów „Korespondencji“, korzystał ze wszystkich świeżo ogłoszonych materyałów, jak również i niewydanych jeszcze, jak np. pamiętnika Seweryna Goszczyńskiego, różnych dokumentów i listów prywatnych, i t. p. W studjum tem swoim starał się autor—jak pisze w przedmowie—„główną wagę położyć na twórczość, stronę zaś biograficzną uwzględnił na tyle, o ile ona stoi w związku z genezą utworów“ (str. 14).

Ale właśnie, zdaniem naszym, ta część pracy, którą autor poświęcił rozbirowi utworów Bohdana Zaleskiego, w której charakteryzuje jego twórczość—jest słabą stroną jego studjum. A stało się to nie tak z winy p. Zdziarskiego, jak z winy właśnie rodzaju twórczości „słowika ukraińskiego“. Umysł to bowiem nie był głęboki, raczej, rzec można, płytki; brakło mu szerszych poglądów, brakło

wszeczhronności i to nietylko wszeczhronności wogóle, ale i artystycznej w szczególności. Ztąd twórczość jego monotonna; wszystko się tam powtarza w kółko. Nietrudnem więc było zbadać dorobek literacki i ostatecznie scharakteryzować twórczość Bohdana Zaleskiego poprzednikiem St. Zdziarskiego a natomiast bardzo trudnem było z tych właśnie powodów, prawie że niemożliwem, powiedzieć w tej kwestyi coś nowego. Dlatego więc część pracy p. Zdziarskiego, poświęcona twórczości B. Zaleskiego, nie przynosi nam nic nowego, wizerunku duchowego poety w żadnym rysie nie zmienia — i jest nieco monotonna, autor często się powtarza, bo — jak rzekliśmy wyżej — monotonna też była i twórczość „słowika ukraińskiego“, obracała się w sferze tych samych pojęć i poglądów, w dodatku pozbawionych głębokości i reminiscencyj.

Natomiast część biograficzna, dzięki nowym, nieznanym szczegółom, aczkolwiek również, z wyjątkiem rozdziałów poświęconych opisowi pobytu Zaleskiego w kraju, szczególnie na Ukrainie — nie obfituje w piękne obrazy, ciekawe i barwne epizody, bo życie poety w nie nie obfitowało a nawet szczególnie na emigracyi, z powodu usunięcia się poety od szerszego życia towarzyskiego i nieustannej „czumaczki“ po zachodzie, było szarem i bezbarwnem — to jednak część ta studyum p. Zdziarskiego przynosi sporo nowych szczegółów z życia „słowika ukraińskiego“ i wyjaśnia niejednen z dawniej znanych a niejasnych. Właśnie więc część biograficzna, na którą p. Zdziarski mniejszy nacisk położył i wartość posiada większą bardziej czytelnika interesuje. Wadą zaś technicznej strony tej części wykonania, jest brak plastyki i perspektywy.

W jedenastu obszernych rozdziałach, z których większa część były już drukowanymi w „Gazecie Lwowskiej“, „Tygodniku Ilustrowanym“, „Słowie Polskiem“, „Ateneum“ i in.—kreśli autor obrazy życia i rozwoju talentu poetyckiego B. Zaleskiego, daje dokładny i obszerny rozbiór jego utworów w związku z danymi biograficznymi. A więc pierwsze trzy rozdziały: „Wiek młodociany (1819 — 1820)“, „W Warszawie i Królestwie (1820—1831)“, „Pierwszy okres twórczości (1819—1831)“—obejmują dzieciństwo, lata szkolne w Kaniowie i Humaniu u ks. Bazylianów, pierwsze utwory drukowane: tłumaczenia od Horacego i „Duma o Waclawie“, w której najwyraźniej objawił się popęd do wyzyskania motywów ludowych i który postawił Zaleskiego odrazu w rzędzie poetów szkoły romantycznej. Następnie wyjazd do Warszawy, wpływ Brodzińskiego a potem Mickiewicza, pobyt u hr. Szembeka, miłość do Róży Żukowskiej, podróże z Szembekiem, wreszcie udział w ówczesnym ruchu. W epoce tej tworzy Bohdan same prawie fragmenty, np.: „Damian księżę Wiśniowiecki“, „Rusałki“, „Ptaszę lasze“, „Kwiat paproci“, parafrazy dumek ukraińskich, np.: „Ukaranie“, „Dwojaki koniec“, „Nieszczęśliwa rodzina“ (przeróbka „Wzgórka pożegnania“), dalej przeróbki utworów Żukowskiego: „Ludmiła“, „Lubor“, „Arab u mogiły konia“ i dumki: „Czajki“, „Dumka Mazepy“, „Dumka hetmana Kosińskiego“, „Zołotarenko w Warszawie“, i in.

Rozdziały IV i V obejmują lata 1831 — 1836, — są to „Pierwsze lata na emigracji“: pobyt w Galicyi, w Paryżu, Strasburgu, Molsheim, znów w Paryżu i wyjazd do Prowancyi—to „Drugi okres twórczości“: „Złota Duma“, owa ukochana a niewyśpiewana jego pieśń nad pieśniami „Duch od stepu“ i „Pieśni serbskie“. Rozdziały VI i VII 1837—1841: „Zaleski na „czumactwie“: w Endoume w pobliżu

Marsylii; ztąd wycieczka do Włoch: Genua, Livorno, Florencyja, Rzym; znów w Endoume a potem w Paryżu, w Sèvres, w Fontainebleau, w Plombières wśród Wogezów, w Szwajcaryi i znów w Fontainebleau, w Beaune — to „Trzeci okres twórczości“, epoka wzrostu uczuć religijnych Zaleskiego: „Hymny i modlitwy“, „Przenajświętsza Rodzina“; pod wpływem zaś wspomnień o Ukrainie, powstają utwory: „Kalinowy most“, „Potrzeba Zbaraska“ i cały szereg mniejszych: „Sawor“, „Luli niemowlęciu Iwoni“, „Lach serdeczny na marach“, najlepsza z dumek historycznych „słowika ukraińskiego“, dalej: „Czarnoksiężniczka“, „Niema czego potrzeba“, „U nas inaczej!“ i wiele innych.

Z rokiem 1841 lutnia Bohdana Zaleskiego milknie. Rozdziały: VIII, zatytułowany „W ognisku rodzinnem“ i IX p. t. „Upadek natchnienia poetyckiego“ — obejmują epokę wypełnioną ukazaniem się „mistrza“ Towiańskiego na emigracyi, powrotem Zaleskiego z Beaune do Paryża, podróżą na wschód (via Eudoume, Rzym, do Ziemi Świętej), wycieczką do Ostendy, pobytem na rekolekcyach u trapistów na Oelbergu w Alzacyi, powrotem do Paryża, ożenieniem się Bohdana Zaleskiego z panną Zofią Rozengardtówną (1846), następnie wyjazdem do Nyères, do Włoch (Rzym), powrotem do Paryża i kłopotami domowemi. Z tej epoki pochodzą: „Wniebogłosy“, „Nieszpór“, „Pyłki“, „Wigilia godów tysiąclecia“, „Dum i dumek księga trzecia“, i t. p. Rozdział X: „Schyłek życia i twórczości (1865—1886)“: zamieszkanie w Villepreu pod Wersalem, pielgrzymka do Rzymu, znów w zaciszu domowem. W tej epoce powstają drobne utwory: „Hej, hej! ojczyzno atamanie!“ „Modlitwy“, „Dzisiejszość“, „Ongi a dzisiaj“, „Dąb namogilny“, „Nie-

wyśpiewana“, i inne. Następuje coraz większa utrata wzroku i słuchu i wreszcie śmierć d. 31 marca 1886 r.

W „Zakończeniu“ zaś daje p. St. Zdziarski ogólną charakterystykę twórczości poety. Przeczytawszy przedmowę i wogóle znając z innych prac p. Zdziarskiego, jego entuzjazm i rozmiłowanie się w utworach szkoły ukraińskiej, zdawałoby się, iż autor przeceni w swej pracy dorobek poetycki „śpiewaka ukraińskiego“, jednakowoż sąd jego wypadł zupełnie obiektywnie. „Zaleski—pisze p. Zdziarski (str. 410)—w swoim uczuciu miłości ziemi rodzinnej (to jest Ukrainy) jest zawsze i ciągle jeden i ten sam, wiecznie rzewny i płacziwy“.—„U Zaleskiego tymczasem ustawicznie brzmi jedna nuta żalu za ziemią rodzinną lub ufności i wiary w miłosierdzie Boskie, poeta nie umie szukać świeżej barwy dla swojej pieśni“... „Brakło tedy Zaleskiemu—pisze dalej autor—jednego czynnika, który był konieczny, nie umiał go raczej nasz poeta na struny swej gęśli wprowadzić a jest nim niedostatek obserwacji... brak daru spostrzegawczego, ażeby daną myśl z odmiennej uchwycić strony, nowych do niej dodać pierwiastków, ażeby ją pogłębić i nowy wyprowadzić wniosek“ (str. 412). Zarzuca też p. Zdziarski B. Zaleskiemu „zupełne zaniedbanie artystycznego zmysłu“ (str. 414) i twierdzi, że „Zaleski, doszedłszy do mistrzostwa w formie, nie troszczył się o nic więcej i ta właśnie doskonałość strony formalnej utworów zabiła go“ (str. 415).

Omawia też p. Zdziarski szeroko i dokładnie i zalety poezji Zaleskiego. O jednostronność więc posądzać go nie można, ani o przesadę w jednym kierunku. Kończy zaś charakterystykę twórczości Zaleskiego temi słowy: „Został więc Zaleski w drugim rzędzie poetów naszych, bo nie potrafił ustrzedz się błędów, nie zdołał pozbyć się mięko-

ści i dobroci, która w poezji jest najszkodliwszym przymiotem, nie zdołał czerpać świeżych pomysłów, któreby mogły zająć uwagę czytelnika, olśnić ją i przyciągnąć do siebie, bo wreszcie nie pozbył się jednostajności i monotonności dźwięków swojej gęśli, które z czasem musiały sprawić nudę czytelnikowi, musiały obniżyć wartość dzieł, ich znaczenie a zarazem znaczenie poety“ (str. 419).

Wogóle oddanie oblicza duchowego poety, charakterystyka i ocena jego utworów—ze stanowiska wierności—nie pozostawia nic do życzenia. Jest to walną zaletą pracy pana St. Zdziarskiego, która na długo pozostanie najpełniejszym, najdokładniejszym i najwierniejszym studjum o Bohdanie Zaleskim. Natomiast nie ustrzegł się autor drobnych błędów, przeważnie natury technicznej. Znamion niedopatrzeń, pośpiechu, gorączkowości—jest niemało. Oto np. na str. 5 pisze autor: „A jednak pamięć jej (matki B. Zaleskiego) zachowała się w sercu dziecięcia“... — a na następnej już stronie: „i choć swojej matki Bohdan nie pamiętał“... Na str. 15 pisze o oddaniu Zaleskiego do szkół oo. Bazylianów w Humanu, na trzech następnych stronkach opisuje Human, Zofiówkę, szkoły i rozpoczyna nowy ustęp: „Do tegoż roku zapewne należy odnieść zabawną historię, jaka się wydarzyła Zaleskiemu“ (str. 18). Nie wiadomo, do jakiego to „tegoż roku“. Czytelnik pozostawiony jest własnej domyślności i kombinacyom. Gdzieindziej wpada autor w przesadę, w pedantyzm, przy rozbiórce niektórych szczegółów. Oto np. w „Złotej dumie“ razi p. Zdziarskiego „niemałej wagi pomyłka“ — jak się wyraża—owa Hanka, jedyny potomek pana na Rużynie, który w starości wstąpił w związki małżeńskie. Na całej stronie roztrząsa autor tę „niemałej wagi pomyłkę“ w ten oto sposób: „Bo czyż jest możliwą rzeczą, ażeby magnat

polski żenił się w tak podeszłym wieku?“ A niżej: „Przy-
puściwszy z drugiej strony, że ksiązę był już od wielu lat
żonaty, czyż wyda nam się prawdopodobnem, ażeby ten
ksiązę dopiero na schyłku życia, po długoletniem małżeń-
skim pożyciu, doczekać się mógł potomka jedynego, pier-
worodneg,“, i t. d., i t. d. (strona 166). W innym znów
miejscu p. Zdziarski wypowiada swe przekonanie, iż Zale-
ski „nie słuchał systematycznie wykładów i był zapi-
sany na wszechnicę (warszawską) zbyt krótki czas“...—a to
z tego powodu, iż „gdyby bowiem rzeczy miały się prze-
ciwnie—to musiałyby Bohdan i później zdradzać wiele więk-
sze wykształcenie od tego, jakie okazywał“ (!?). Takich
niefortunnych roztrząsań znajdujemy i więcej.

Następnie często używane te same terminy i określe-
nia, powtarzanie się całych ustępów identycznych — nużą
czytelnika. Oto przykłady: na str. 13 p. Zdziarski ob-
szernie pisze o pobożności ciotki Bohdana (Jasińskiej)
a już na następnej, znów dotykając tej samej kwestyi, do-
daje: „a zważyć należy, iż ciotka Bohdana była bardzo po-
bożną osobą“ (!). Na str. 108 znajdujemy cały ustęp o baj-
dakach na Dnieprze, o locie ptaków, o doświwkach, o kaz-
kach, i t. p.—to wszystko i w tym samym porządku, co
już czytaliśmy na str. 19. Na str. 121, na początku, przy-
tacza autor list B. Zaleskiego, pisany w listopadzie 1832 r.
do Nabelaka, w którym między innymi znajdują się te
słowa: „Mam u siebie jego (to jest Mickiewicza) rękopi-
sma, które na kilka grubych tomów wystarczą“ — i dalej
o „Dziadach“—w końcu zaś tej samej stronicy przytacza
autor list B. Zaleskiego, również pisany w listopadzie te-
goż roku do Bielowskiego — prawie dosłownie to samo co

wyżej: „Mam w tej chwili na stoliku całą tekę niedrukowanych pism Mickiewicza, które na kilka grubych tomów wystarczą“. Dalej zaś również identyczny ustęp o „Dziadach“. Ponieważ Zaleski większych poematów swoich nie mógł nigdy doprowadzić do końca, zastanawia się więc autor na str. 159 nad tą kwestyą i pyta; „czy może znowu niedostawało mu pierwiastku epicznego, że nie mógł snuć spokojnie zaczętych pomysłów?“—i t. d., i t. d. i na str. 161 powtarza dosłownie cały ten ustęp.

Wogóle takich powtarzań jest bardzo wiele, por. na str. 144 (o spaleniu rękopisu) i 162; na 63 i 98; na 161 (o „Damianie“) i też w III rozdziale; na str. 174 i 180; na 403 i 404, i t. d. i t. d. Psują one znacznie ogólne wrażenie, otrzymywane przy czytaniu studjum p. Zdziarskiego, ale też na jego usprawiedliwienie powiedzieć należy, iż — o czem już zresztą nadmienialiśmy — jednostajność i monotonność twórczości B. Zaleskiego, w znacznym stopniu ku temu się przyczynia. Zresztą dotyczy to więcej strony zewnętrznej pracy p. Zdziarskiego.

Znajdujemy jednak w niej i ustępy opracowane pod tym względem bez zarzutu. Szczególniej dotyczy się to początkowych rozdziałów. Pięknym jest początek rozdziału trzeciego. O wartości wewnętrznej dzieła jużśmy mówili, tu tylko jeszcze zwrócimy uwagę na niektóre, sprostowane przez pana Zdziarskiego daty i szczegóły, do tego czasu błędnie powtarzane po różnych „literaturach“; dotyczy to np. daty rozpoczęcia nauk gimnazjalnych przez Zaleskiego (jesień roku 1812; patrz str. 15) — wielu faktów podawanych przez S. Duchiąską w jej pracy o Zaleskim, „Chronologii utworów poety“, i t. p. To wszystko razem zaś sprawia, iż studjum pana

Zdziarskiego, w rzędzie prac poświęconych zbadaniu życia i twórczości „słowika ukraińskiego“, zajmie poczesne stanowisko.

Kogo osobistość i twórczość Zaleskiego bardziej interesuje, ten będzie musiał się zwrócić przedewszystkiem do pracy p. Zdziarskiego, w niej też znajdzie cenne i obfite wiadomości, oraz wyczerpujące zbadanie materiału źródłowego, dotyczącego się B. Zaleskiego. Przysłużył się więc pracą tą swoją p. Zdziarski ojczystej literaturze.

Henryk Ułaszyn.

TRYLOGIA DRAMATYCZNA

Knuta Hamsuna.

Zaledwie trzynaście lat upłynęło od pierwszego, świetnego wystąpienia Hamsuna w „Głodzie“ (r. 1889)—a jaki wspaniały ma już za sobą dorobek literacki! Uderza w nim przedewszystkiem niezwykła różnorodność formy. W pierwszej pracy: „Fra det moderne Amerikas Aandsliv“ (Z duchowego życia współczesnej Ameryki), okazał się autor niezrównanym, lekkim, dowcipnym gawędziarzem. Te same zalety cechują wydaną przed miesiącem książkę p. t. „I Aeventyrlandet“ (W krainie baśni), dającą opis wrażeń z pobytu na Kaukazie. „Głód“, „Mystyerye“ i „Pan“ wykazują pewne pokrewieństwo z nieokiełznaną fantazją. Powieści: „Redaktor Lynge“ i „Ny Jord“, zdają się być dziełami zupełnie odmiennego talentu, pełne bystrej obserwacyi, trzeźwego sądu i gryzącej ironii. Te różnorodne właściwości autora ujawniły się w jego dramatycznej trylogii, na którą składają się trzy sztuki czteroaktowe, nie podzielone jednak na sceny.

Pierwsza jest wstępem zatytułowanym: „Ved Rigets Port“ (U wrót państwa), środkowa część nosi tytuł: „Livets Spil“ (Igraszki życia), trzecia jest zakończeniem p. t. „Aftenrøde“ (Zmierzch wieczorny).

Wstęp rozgrywa się w podmiejskim, zacisznym domu, w mieszkaniu bohatera, Kareno, filozofa, którego wszystko pcha do wyrzeczenia się zasad, odbiegających bardzo od powszechnie utartych pojęć. Nie jest to walka liberała z konserwatystami lecz najświeższy objaw: nitzscheanista występuje przeciw potędze liberałów.

— Wszystkim się zdaje, że wieczny pokój, to coś bardzo pięknego a ja powiadam, że to pogląd godny cieleńskich mózgów, które go wylęgły. Tak. Gardzę wiecznym pokojem, bo brak mu zgoła dumy. Właśnie niechaj przyjdzie wojna; nie chodzi przecież o zachowanie życia tyłu a tyłu jednostek, bo źródło życia jest niewyczerpane, lecz chodzi o to, by w nas człowiek się podniósł! — oto próbka teoryj bohatera, ogłaszanych drukiem.

Nie wierzy on w liberalizm, ani w powszechne głosowanie, ani w reprezentację stanów. Natomiast wierzy w „pana z rodu, naturalnego despotę, władcę, którego nie wybierają, lecz który sam narzuca się na zwierzchnika hord ludzkich“. Wierzy i spodziewa się jedynej rzeczy: „to jest zjawienia się wielkiego terorysty, kwintesencyi człowieka, Cezara!“

Uczonemu, wraz z młodą żoną, grozi nędza i gdyby tylko bohater chciał zmienić cośkolwiek lub przynajmniej złagodzić poglądy swoje w dziele, na które daremnie szuka nakładcy, skończyłaby się jego niedola, wszedłby w państwo szczęścia,—lecz on cofa się od wrót jego.

W pierwszym akcie pokusa ma formę przyjacielskiej rady starego, doświadczonego profesora, który okazuje się wspaniałomyślnym i pomimo, że Kareno w pismach swoich napada na niego, zapomina swojej krzywdy i chce po dać dłoń pomocną pełnemu nadziei koledze. Drugi akt zapoznaje nas z przeciwstawieniem bohatera, Jervenem, któ-

ry umiał korzystać z okoliczności i ze zwolennika i przyjaciela Kareny, stał się obrońcą istniejącego stanu rzeczy a czeka go za to w niedalekiej perspektywie stypendyum. Ale bohater, niepomny grożącej mu każdej chwili egzekucyi, z powodu zalegającego czynszu, nietylko nie daje się pociągnąć przykładem, lecz nawet nie chce przyjąć pożyczki od byłego przyjaciela, bo pieniądze te pochodzą z honorarium za dzieło, w którym tenże zmienia swoje przekonania i sprzedaje się niejako. Ostatnią pokusę stanowi chęć odzyskania miłości żony. Oddany pracy, pożerany troską o byt, spostrzega wreszcie Kareno, że serce żony odwraca się od niego w chwili, kiedy właśnie najbardziej potrzebował współczucia i otuchy. Domyśla się, że odzyskałby ją, gdyby jej mógł ofiarować lepszy byt materialny. Postanawia więc iść do nakładcy, przyrzec zmianę dzieła w duchu zapatrywań i pojęć panującej partyi a wzamian zażądać zaliczki, którejby mu nie odmówiono. Ale i tę pokusę pokonał.

Zmartwiony, wraca do domu, nie wiedząc nic o ucieczce żony. Przez zamknięte do jej pokoju drzwi przeprasza ją za zawód. Gdy złamany zamyka się, aby pozostać sam ze swoim bólem, zjawia się egzekutor i na tem kończy się sztuka.

Są tu właściwie dwa równorzędne wątki dramatyczne: obok wyż przedstawionego mocowania się bohatera, wielkie znaczenie ma przeobrażenie się jego żony. Na początku sztuki poznajemy ją jako młodą, naiwną, prostą, ale pełną dobrych porywów kobietę. Gorąca, żadna pieszczot, znajduje u męża chłód i zaabsorbowanie pracą. Pomawiając go o zubożenie, usiłuje rozmaitemi sposobami zwrócić na siebie jego uwagę, wreszcie wpada na pomysł wskrzeszenia w nim nanowo miłości przez zazdrość. Do-

pięła celu, ocknęła się w mężu miłość, jakiej pragnęła, ale u niej nie znalazła już oddźwięku. Zbliżywszy się do redaktora Bondesena, pierwotnie tylko z myślą o podrażnieniu zobojętniałego męża, znajduje upodobanie w jego towarzystwie, zwłaszcza, że on otwiera przed nią nowe horyzonty życia pełnego przyjemności, rozrywek, których nie zaznała w cichym, spokojnym domu przy pracy. Sama zdaje sobie sprawę ze swego obudzenia się. „Gdy wyszłam do pana wczoraj—mówi do Bondesena—i ujął mnie pan za rękę, wytrysło we mnie źródło życia“. Nawet zapracowany mąż spostrzegł w niej zmianę i wyraził się: „że bije od niej jakiś blask a oko nabrało ognia“.

Następna sztuka „Livets Spil“, rozgrywa się po latach dziesięciu, na dworze obywatela wiejskiego, gdzie Karen otrzymał posadę nauczyciela tegoż synów. Głównymi bohaterami są tu: ów obywatel ziemski Oterman i jego córka Teresita. Wysoce dramatyczne jest stopniowe rozwijanie się obłędu bohatera, człowieka niegdyś zamożnego i w nieproporcjonalny do swoich dochodów sposób ofiarnego, niemal rozrzutnego. Z chwilą, gdy w dobrach jego odkryto kopalnię marmuru, coś się psuje w jego mózgu. Nie chcąc zajmować się eksploatacją kamienia, sprzedał grunt jakiemuś towarzystwu a gdy ono znajduje coraz to nowe pokłady, rozpacza, iż te niezmierne skarby sprzedał zbyt tanio; każdy nowy pokład, to nowy, bolesny cios dla niego. Opanowywa go mania, zdaje mu się, że jest zrujnowanym nędzarzem, zaprowadza rozmaite oszczędności w gospodarstwie domowym, staje się bezwstydnie skąpym, w końcu, w przystępie obłędu, dopuszcza się zbrodni. A mianowicie w pierwszych czasach pojawienia się marmuru na jego gruntach, ucieszony, hojny, jakim był z natury, przyrzekł Karenie, że swoim kosztem wyda

jego pracę, ale gdy ten później przypomina mu przyrzeczenie a wobec jego zapierania się, chce się powołać na świadków, podpala Oterman wieżę, w której znajdują się papiery uczonego, praca wielu dni i nieprzespanych nocy, aby się tylko uchylić od lekkomyślnie danego zobowiązania. Wraz z papierami giną jednak w płomieniach dwaj jego synowie, którzy się przypadkiem znajdowali w pokoju nauczyciela.

Ojca skłonność do choroby umysłowej, objawiła się u córki ekscentrycznością i niepohamowaną samowolą. Kapryśna, szukająca wrażeń, w każdym mężczyźnie upatruje czegoś nadziemskiego a przekonawszy się, że to zwykły człowiek, rzuca go bez skrupułu, jak nie przebierała w środkach, aby go pozyskać. W chwili, gdy uświadamia sobie, że kocha Karenę, nadchodzi telegram zwiastujący przybycie jego żony. Było to w jesieni, kiedy na północy najczęściej szaleją orkany a właśnie pod noc, gdy okręt miał przybijać do brzegu, zerwała się burza. Pracownia filozofa, w formie wieży, stanowiła rodzaj latarni morskiej. Teresita umyślnie lampy nie napełniła, aby światło zgasło zaraz z wieczora a okręt w ciemności rozbił się i zatonął razem z nienawistną kobietą.

Zbrodniarkę dosięga ręka sprawiedliwości: kiedy obrażona przez swego dawnego kochanka, posyła mu nabity pistolet, ginie od przypadkowego niby strzału, kierowanego przez symboliczną postać Thy.

Ostatnia sztuka „Aftenröde“, to tragikomedia ludzka. Bohater Karenø starzeje się, słabnie a nie chce uleźć, pragnie być młodym i ludzi się, że jest takim. Człowiek jest stary z chwilą, gdy zaczyna sypiać po obiedzie i zawdzie-wa szlafrok... Człowiek starzeje się, gdy przestaje się roz-

wijać, zmieniać... wtedy zaczyna się jego starość — lubi powtarzać.

Pełną bolesnego komizmu jest scena, w której jako pięćdziesięcioletni starzec przyjmuje deputacyę radykalnego stowarzyszenia, rekrutującego się z samych młodych, jeżeli nie wiekiem, to duchem.

Posłyszawszy nadchodzących, żywo zrywa z siebie szlafrok, odrzuca laskę ze srebrną gałką (godła starości) i mówi z zapalem:

— Oto nie zdołano złamać mojego ducha, siły moje kwitną, jak w młodości. Pod popiołem tli we mnie ogień. Kuszą mnie zaszczytami, godnościami, mnie, mnie!

Podniecając się własnymi słowami, mnie w rękę i rzuca pod piec rękopis dzieła, w którym pisze „o wszystkich dobrych rzeczach na świecie, o mądrej, okrągłej ziemi i o niebie, na którym świecą gwiazdy“. Ale kiedy jeden z jego uczniów i wielbicieli odczytuje głośno ustępy z jego pracy, napisanej przed dwudziestu laty, w której namiętnie zwalczał wszelkie autorytety, czuje, że przecież dziś nie stoi na tem stanowisku, że jego własne słowa zwracają się teraz przeciw niemu samemu.

— Dlaczego znosicie dłużej kłamstwo, młodzieńcy?— pyta w owej pracy. — Dlaczego nie podejdziecie do tego pięćdziesięcioletniego starca i nie powiecie mu: ustąp, ustąp, stary! Jesteśmy młodszy od ciebie, twoje życie się skończyło, ustąp nam miejsca, umieraj z Bogiem?!

Ostatnim wysiłkiem woli chce jednak iść razem z młodymi i przyrzeka deputacyi, że pozostanie nadal przewodniczącym stowarzyszenia.

Dziesięć lat zachowywał się spokojnie, nie występował przeciw nikomu, nie głosił radykalnych zasad, w nadziei, że otrzyma stypendyum w nagrodę za milczenie.

Uznano jednak innych bardziej potrzebującymi, nikt nie wchodził w to, że on nie chciał być „stypendystą żony“, która odziedziczyła po rodzicach znaczny majątek. Zawiedziony w swoich nadziejach, poczyną się wahać. Z jednej strony widoki pokonania wroga, Jervena, z drugiej trudność wyrzeczenia się wygod, któremi otoczyła go żona, wpływają na stanowcze przejście Kareny do przeciwnego obozu. Zrywa z dawną partią i stawia swoją kandydaturę do sejmu przeciw Jervenowi.

Deputacya wyborców, z muzyką i śpiewami, przybywa podziękować wielkiemu mężowi. W chwili, gdy honorowany w tak niezwykły sposób bohater wygłasza mowę wyborczą, zjawia się jeden z dawnych towarzyszków i działając w myśl samego Kareny z przed laty dwudziestu, że „renegatów powinno się strzelać“, celuje w odstępcę—ale, naturalnie, chybia i wbrew woli, oddaje wielką przysługę kandydatowi cudownie ocalonemu, który może być tem pewniejszy wyboru.

* * *

Pierwsza część trylogii łączy się ściśle z ostatnią, środek stanowi część oderwaną, w której główni bohaterowie występują jako postacie bierne, drugorzędne a nawet tylko epizodyczne, jak Elina.

„Ved Rigets Port“, to zapowiedź życia, które w ostatniej sztuce „Aftenrøde“, okazuje się zwykłą, pospolitą komedią ludzką. Dzieli te dramaty okres lat trzech (pierwszy wyszedł w r. 1895, ostatni w 1898), w których w autorze dojrzał obserwator, umiejący z dusz ludzkich wydobyć na wierzch najtajniejsze myśli i z wyrozumiałością mędrca przedstawić je jako wynikające z natury rzeczy — rodząj starczego zaniku sił.

Dramat „Livets Spil“ jest pełen tajemniczego nastro-

ju, chwilami wywołującego grozę, np. w akcie trzecim, rozgrywającym się na placu, gdzie odbywa się jarmark. Wesole krzyki, muzyka, mieszają się ze złowróbnymi przepowiedniami ludzi, zapowiadających zbliżanie się zarazy, z wystraszonemi głosami, wzywającemi imienia bóstwa w rozmaitych narzeczach: Kwenów, Lapończyków, i t. p. W akcie tym jest bardzo dużo ruchu i życia.

W dramatyczną akcyę tej sztuki wplata Hamsun działanie symbolicznej postaci, starca Thy, uosobienie sprawiedliwości. Są chwile, w których ukazuje się on tylko jako złowrogie „memento mori“, jeżeli nie nadeszła jeszcze pora jego wkroczenia, ale na jarmarku, wśród radosnej wrzawy, głuchej na straszne przepowiednie, zwraca się do uczestników zabawy, pytając: Znacie mnie?—ale nikt nie chce się przyznać do niego. Wtedy on woła: Znacie mnie wszyscy i uciekacie przedemną. Gdy dojrzycie ślady stóp moich na śniegu, odwracacie się i dążycie inną drogą. Jeżeli ja się puszcę na północ, wy udajecie się na południe. Przez lat dwadzieścia wymykaliście mi się. Teraz was przecież schwytałem! — I strach padł na ludzi, raz wraz ktoś słabnie i umiera, reszta rozbiega się w popłochu.

Dramatycznych efektów posiada ta sztuka najwięcej.

Poszczególne części trylogii sam autor nie nazwał dramatami, nie są też niemi w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, nie odpowiadają ogólnie przyjętej normie, są to raczej dyalogowane obrazy.

Osoby występujące tu, to nie typy, lecz indywidualia o naturze skomplikowanej, których czyny nie zawsze dają się przewidzieć, ponieważ wpływa na nie chwilowa pobudka zewnętrzna, nastrój duszy, i t. d. Najbardziej zbliżonym do typu jest właśnie bohater: uczony, marzyciel, niepozbawiony lekkiej dozy komizmu, ilekroć przyjdzie mu

zetknąć się ze światem rzeczywistym. Obok objawów nieubłaganej surowości, gdy przyjaciel niegdyś na klęczkach niemal błagał go—aby przyjął od niego pożyczkę na dowód, że nie gardzi nim, inaczej uczyni go nieszczęśliwym na całe życie—wykazuje pełną tkliwość dobroć, kiedy zwraca uwagę żonie, aby pozwoliła położyć się służącej, gdy się u nich goście zasiedzieli dłużej pod noc, lub gdy otrzymawszy wiadomość o przyjeździe żony, niepokoi się o nią z powodu szalejącej burzy. Wszelkie dowody życzliwości najbliższych nawet, wprost go rozczulają. W młodości posiadał ogromną wytrwałość i wiarę w swoje idee, lata dopiero uczyniły go słabym, chwiejnym.

Przyjaciel jego, Jerven, wcześniej zmienił przekonania. Kareno powiada mu: Przeszedłeś do przeciwnej partyi bez walki, z licem młodzieńczym rumieńcem ubarwionem, gdy mój włos posiwiiał w dwudziestoletniej walce.

Wspaniała jest scena w akcie drugim „Ved Rigets Port“, kiedy on wylewa całą żółć człowieka, spodłonego we własnej opinii i w oczach tych, których szanuje. Wogóle ten akt sztuki wywołuje napięcie nerwowe, czuć, że się tu rozgrywają sprawy, które stanowczo wpłyną na losy występujących osób.

Jerven sprzedał swoje przekonania za stypendyum, umożliwiające mu zawarcie związków małżeńskich. Przypadkiem narzeczona dowiaduje się, że Kareno nie chce przyjąć pieniędzy, nabytych w ten sposób i zrywa z Jervenem, przekonana, iż widocznie popełnił coś złego, skoro go taki człowiek potępił. Daremnie narzeczony upokarza się przed przyjacielem i błaga go, aby mu nie łamał życia; wtedy objawia się brzydki jego charakter: z przyjaciela staje się najzaciętszym wrogiem i szkodzi Karenie jawnie i skrycie. Ale Hamsun nie dzieli charakterów na

czarne i anielskie, lecz uważa je za mieszaninę dobra i zła, która składa się na żywych ludzi. To też i mściwego karyerowicza Jervena wyposażył uczuciem nawet śmiesznem w swoim sentymentalizmie. Dwadzieścia lat pozostał on wierny swojej miłości i po upływie tego czasu, jak młodzieniaszek, czatuje na sposobność widzenia byłej narzeczonej.

Jedynym, którego poznajemy już w pierwszej części jako „wyrobitego człowieka“, jest redaktor Bondesen, utrzymujący, „że wszystkie dzieci dorastają, o ile nie umrą“—a on należał do tych, którzy dojrzewają bardzo wcześnie. Sam o sobie mówi, że i on „przechodził podobny kryzys, był radykałem, bezwzględny, zuchwałym aż hej! Ale nadeszła chwila, kiedy począł się zastanawiać“. Nieporównany to znawca ludzi, oryentujący się nadzwyczaj szybko w sytuacji. Poznał on odrazu, że Karenó należą do tych, którym trzeba zostawić sporo czasu do zmiany przekonań. Wszedłszy w dom Karenów, natychmiast pojął, co się dzieje w duszy Eliny i wiedział, czem ją ująć i zdobyć. Szatańskiej przenikliwości dowodzi, gdy w ostatnim akcie „Aftenrøde“, kiedy strzelano do Kareny a Jerven dopytuje się z żywością: Trafiony?!—podchwytuje go: A to wspaniałe! Zadrzało ci nadzieją serce, Jervenie?

Ale nawet w nim tkwi iskra ludzkiego uczucia. Przypuszczając, że córeczka Eliny jest jego dzieckiem, wrzuca się jej widokiem i pragnie przyczynić się czemkolwiek do jej szczęścia, pomaga więc jej ojcu do osiągnięcia wyższego stanowiska. Pojawszy w lot, że Elina pragnie wymazać z pamięci przeszłość i używać w spokoju życia rodzinnego, pławiąc się w blasku honorów i zaszczytów spadających na męża, stosuje się do jej życzenia i uczucie dla dziecka zamyka w sobie.

Z niewieścich postaci wysuwa się na plan pierwszy Elina, kobieta bez wszelkiego wykształcenia, bez subtelności uczuć. Braku wszelkiego poczucia estetycznego u niej dowodzą podarki, któremi obdarza męża a więc: litografia, przedstawiająca Chrystusa, którą „nawet rodzice jej (prości chłopcy) uznali za bardzo piękny obraz“, wypchany sokół, przed którym Karenø cofa się ze wstrętem a wreszcie szlafrok i laska ze srebrną gałką, jedyne dary, przyjęte z pewnem uznaniem, bo też zjawiły się w porę. W początkach małżeństwa nieśmiała, spoglądająca na męża, jak na wyższą jakąś istotę, który to szacunek dla jego umysłu przechowała przez długie lata, zazdrosna o niego, podejrzliwa każda kobietę, nawet służącą o chęć odebrania jej serca męża, pod wpływem zręcznego uwodziciela zmienia się całkiem, zapomina o wszystkim, nabiera niepomamowanej ochoty użycia swoich lat młodych. Później będę go błagała o przebaczenie, ale teraz nie chcę o nim myśleć—powiada z całym cynizmem do Bondesena.

Nieznośnym stał się dla niej dom jej męża. Tu jest śmierć—mówi rozżalona. — Ani tykotania zegara, żadnego głosu, grobowa cisza, papiery same. Dziś posłyszałam turkot wozu na ulicy, wybiegłam i patrzyłam, póki mi nie zniknął z oczu.

Jeżeli postaci Hamsuna wogóle przedstawiają charakter, wykazujące rozmaite sprzeczności, to kobiety jego posiadają tę właściwość, posuniętą do granic ostatecznych. Elina w chwili, gdy mężowi wyrządza tak straszną krzywdę i porzuca go z gachem, pamięta, aby mu przyszyć guzik do kamizelki, o co ją prosił, wychodząc z domu a przytem posiada tyle delikatności, że kryje się z tem przed kochankiem, aby mu nie sprawiać przykrości. Gdy Bondesen jednak, zniecierpliwiony tajemnicą, wchodzi

umyślnie do pokoju, tłumaczy się mu Elina, że jest tak szczęśliwą, iż nie może znieść myśli, aby ktokolwiek cierpiał z jej powodu. W nadmiarze szczęścia wymawia sobie nawet, że będzie trzymała bat przez całą drogę, aby woznica nie bił koni—tyle w niej współczucia dla bezrozumnych nawet stworzeń!

W środkowej części trylogii zjawia się ona jako kobieta lekkich obyczajów. W ostatniej zaś spotykamy ją już przesyconą wolnością, tęskniącą do życia rodzinnego, do używania mieszczańskich rozkoszy, jakie im zapewnić może spadek po rodzicach. Poczynają się w niej budzić wymagania pewnych form towarzyskich, zaprowadza w domu system meldowania gości, gromadzi okazy sztuki, wymaga nawet od męża oznak szacunku, wstydliwie ucieka z pokoju, gdy on przebiera się w jej obecności — słowem, zachowuje się jak uosobienie wzorowej cnoty. Kiedy jej Bondesen opowiada o służącej identyczny fakt, jaki się jej samej wydarzył przed laty, woła z całym świętem oburzeniem: „Że też coś takiego mogło się wydarzyć w takim, jak nasz domu!“

Złą, okrutną syreną jest Teresita ze środkowej części trylogii. Ilekroć powie lub zrobi coś niepożądanego, tłumaczy się, że „jej to coś szepnęło do ucha i musiała zrobić“. Pierwszemu kochankowi z całym spokojem oświadcza, że ją znudził, bo jest dzieckiem ziemskim, Karenø zaś zdaje się jej pochodzić nie z tego świata, „jakoby księżyc szedł ku mnie“—mówi o nim.

Gdy Jens Spir domyśla się jej zbrodni i z pełnym zgrozy podziwem wykrzykuje: „Jakaż pani jest śmiała, że ma odwagę przyznać się do tylu zbrodni!“ — mówi z piekielnym chłodem: „Nikt nie stanie między nim a mną.

Skłoń głowę, Jensie Spirze, skłoń nisko głowę przed moim czynem... Zdepczę tego, kto wejdzie mi w drogę!”

Ale jak syrena zmienną też jest Teresita. Wkrótce pierzchła jej miłość do Kareny. Chwilowo, jakgdyby wzruszona jego wyrzutami, usprawiedliwia się: „Nie byłeś pan tem, za co go uważałam. Jesteś człowiekiem, jak wszyscy inni, pełnym wad prostackich i niedorzecznych“. „Znudził mnie pan“—dodaje w końcu już zniecierpliwiona.

Kapryśna w najwyższym stopniu, nie potrafi umotywo- wać swoich upodobań. Gdy się Kareno pyta, cokocha w przed- miocie nowej miłości, odpowiada: „Może garb jego. Bóg raczy wiedzieć, co moje serce w nim ukocha“. Jest w niej coś złowrogiego a jednak dla mężczyzn ponętne. Oczy jak stal, ręce ogromne i nogi na zewnątrz mocno odchylo- ne, stanowią charakterystykę jej zewnętrznej postaci.

Łatwo zapalająca się, egzaltowana, w szlachetnem te- go wyrazu znaczeniu, panna Hovind z pierwszej części trylogii, staje się w ostatniej śmieszna, typową starą panną.

Smutna to prawda, jaką nam stawił przed oczy Ham- sun w swojej trylogii: życie na wszystkim wyciska swoje piętno. Co było piękne, wielkie i wzniosłe, staje się brzyd- kiem, małym i nędznym; co proste—trywialnem, co śmia- ła—bezczelnem.

A główną ideą jest bajka, którą Kareno opowiada swojej córeczce w „Aftenrøde“, zaczynająca się od słów: był sobie raz człowiek, który twierdził, że się nigdy nie ugnie...

Józefa Klemensiewiczowa.